POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 10-go sierpnia 1940r.** **Rok II. Nr. 22.**

Hasło tygodnia:

Los i wróg wystawia nas znowu na próbę cierpliwości. Pamiętajmy, że to jeden ze sposobów tego najpodlejszego z nieprzyjaciół: nękać niepewnością, wyczerpać oczekiwaniem, by potem zaskoczyć znienacka i błyskawicznie zdławić. Pamiętajmy, że niezachwiana odporność pogotowia moralnego i materialnego jest w tej wojnie równie ważna, jak odporność na atak, jak siła przeciwnatarcia.

CO MYŚLIMY O FRANCJI

Klęska wojenna Francji była najdonioślejszym dotychczas, w pierwszym roku wojny, zdarzeniem, gdyż od tej chwili ustała wojna na lądzie europejskim i Niemcy nie mają już w tym obszarze przeciwnika walczącego.

Było to również zdarzenie najmniej spodziewane. Wszakżeż bowiem działo się to w dwadzieścia lat po największym zwycięstwie w dziejach Francji, której w toku wieków wielkich zwycięstw zaiste nie brakło, i to zwycięstwie, odniesionym w lwiej części dzięki wspaniałemu bohaterstwu żołnierza i narodu francuskiego w ciągu czterech lat uderzenia i nieustannego naporu niemieckiego. Można było ostatecznie przypuszczać, że w obecnej walce poprzednio zwycięskiej Francji z poprzednio pokonanymi Niemcami mogą znów przyjść bardzo nawet ciężkie przeprawy, włamania się nieprzyjaciela, wygięcia i częściowe zwijania frontu, ale tego, że już w 38 dni po uderzeniu niemieckim na Francję poprzez Holandię i Belgię, do którego dołączyło się co prawda niebawem i uderzenie włoskie, Francja zaniecha oporu, nikt bodaj nie przewidywał.

Stąd zaburzenie i rozterka pojęć, stąd rozczarowanie i nawet gniew przyjaciół, stąd wreszcie aż pewnego rodzaju sądy doraźne nad Francją.

Są to objawy może zrozumiałe, jako odruchowe, ale, w poważnym na świat i sprawy jego spojrzeniu, raczej lekkomyślne.

Z tych sądów doraźnych należy przede wszystkim wyłączyć uproszczone wyroki na Trzecią Republikę jako ustrojową winowajczynię klęski. Wszystkie kolejne ustroje francuskie w dobie nowoczesnej miały swe wady obok swych zalet. Miał je Ancien Régime, miało je Pierwsze i Drugie Cesarstwo, miała je Restauracja Królestwa, miała je też Pierwsza, Druga i Trzecia Republika. Ostatecznie zaś ta właśnie Trzecia Republika nie tylko przetrwała najdłużej z wszystkich tych kolejnych ustrojów, bo siedem dziesiątek lat, czyli niemal tyle co pięć innych po Ancien Régim'ie razem, ale też w jej dobie Francja odbudowała z popiołów swe stanowisko europejskie i swe sojusze, stworzyła zwarte Imperium światowe, wyswobodziła ramię w ramię z Wielką Brytanią i Sprzymierzonymi przed laty dwudziestu Europę i wraz z nią Polskę z przewagi i niewoli niemieckiej, zanim teraz znowu Niemcom uległa.

W Trzeciej Republice Francuskiej, podobnie jak w poprzednich ustrojach, było sporo złego —i nikt o tym nie wie lepiej od samych Francuzów—ale było też, jak zawsze, bardzo wiele dobrego, wieczystego w dziejach Francji i stanowiącego jej trwałą i promienną wielkość.

Zresztą to przypisywanie klęski Francji po prostu jej ustrojowi w Trzeciej Republice jest też dlatego niewczesne, iż jest to woda na młyn dyktatur współczesnych w ich walce przeciw demokracji, czyli przeciw wolności człowieka i obywatela. Niechaj sobie oni grają codziennie w tę dudkę. Ale nie trzeba im basować. Co zaś warte są dyktatury, w przeciwstawieniu się demokracjom, to jeszcze się okaże w tym przełomie dziejowym, bo . . . jeszcze nie wieczór.

Z tych sądów doraźnych należy również wyłączyć potępianie w czambuł wojska i żołnierza francuskiego, w uproszczonym znowuż twierdzeniu, że nie chciał on się bić. W wojskowych obliczeniach francuskich były niewątpliwie jakieś hardzo wielkie błędy, podobnie jak w uzbrojeniu były zaniedbania, a gdy błędy te i braki wyszły na jaw, jen. Weygand powołany był już za późno, by wstrzymać staczanie się po równi pochyłej.

Rozprzężenie musiało udzielić się również poszczególnym grupom, armiom, korpusom i dywizjom, ale szczegóły walk nie są jeszcze znane i niewątpliwie dowiemy się kiedyś o przykładach bohaterstwa francuskiego także w tych walkach.

Wreszcie my, Polacy, wystrzegać się będziemy wszelkich uogólnień w sprawie naszych przepraw i przygód przy opuszczaniu Francji i przenoszeniu się do Anglii.

To nieprawda, jakoby Francuzi w ogóle nie mieli dla naszego w owej chwili stanowiska i naszych potrzeb zrozumienia, lub odnosili się do nas zgoła niechętnie czy wrogo. Bywało tak i bywało siak. Ale każdy objaw nieżyczliwości każdego człowieka, który stracił głowę w straszliwym załamaniu się, tkwi w pamięci i idzie z ust do ust, a zapomina się o objawach pięknych i o niezmiennej, zakorzenionej przyjaźni francuskiej dla wszystkiego co polskie.

Dam przykład z jednego z dziesiątek opowiadań, jakie słyszałem.

W chwili wycofywania się jednej ze służb pomocniczych polskich w obszarze działania 1-szej dywizji polskiej, dowódca francuski tej służby, sam odjeżdżając z gronem oficerów francuskich, powiada Polakom:

—Dawajcie sobie radę sami i idźcie na piechotę do Dijon.

A to było około 200 km i wobec tego istniały wszelkie widoki, że Niemcy będą tam wcześniej wozami, niż Polacy na piechotę.

Ale ledwie puścili się w drogę, spotykają na moście oficera francuskiego, który im powiada:

—Na piechotę do Dijon? To niedorzeczność. Nie mam dość samochodów, ale każę was podwozić dalej grupami.

I tak zrobił.

Na noc, gdy zjawili się w pewnej miejscowości i zgłosili się o nocleg, Francuzka, właścicielka domu powiedziała szorstko:

—U mnie nie ma miejsca.

A gdy, wobec tej odmowy, zamienili z sobą kilka słów po polsku, zapytała:

—To panowie nie Francuzi?

—Nie, Polacy.

—A to co innego. Po tym co się stało, nie ma u mnie miejsca dla oficerów francuskich. Ale dla polskich z całego serca. Proszę Panów.

To są obrazy prawdziwe i w dobrze mi znanych przykładach znacznie liczniejsze.

Lecz to są szczegóły, a istota rzeczy jest ponad nimi.

Więc przede wszystkim Francja jest dzisiaj w niedoli, straszliwej niedoli, najcięższej niedoli w toku swych dziejów. Nikt nie rozumie lepiej, niż Polacy, że klęska może być najzupełniejszą, a jednak naród pozostaje wielkim. I niechaj Francja wie, że my tak i tylko tak na nią dziś patrzymy, o niej myślimy, w nią wierzymy.

A co więcej, wiemy, że, jak nie ma wolnej Europy bez wolnej Polski, tak też nie ma w ogóle Europy bez Francji.

Takie jest nasze najgłębsze przekonanie. Wiemy, że taksamo myśli i czuje Wielka Brytania, bo tak mówią kierownicy jej polityki. I z tą myślą przewodnią trwamy w walce i idziemy ku przyszłemu pokojowi.

Stanisław Stroński

O Ideę Słowiańską

Naród wielki to ten, który historię swoją tworzył z myślą nie tylko o sobie, lecz i o innych, który wykonywał misję. . .

A. Mickiewicz

Żołnierz polski. Swoim bohaterstwem zadziwia świat. Walczy w najgorszych warunkach. Często bez niczego. Nawet bez Ojczyzny. Przechodząc z jednego kraju do drugiego. Nie pytając o liczbę wroga. Jest wszędzie tam gdzie można służyć swemu narodowi.

Czemu to się dzieje ? Czy to zamiłowanie do wojny? Wszystko jedno z kim i gdzie, ażeby tylko walczyć ? Może to tradycja rycerstwa, które z takim samym zapałem będzie się bić ze wszystkimi. Bez głębszej racji, często bez celu ?

Nie. Tak nie jest. W wojnie obecnej walczy naród cały. Zatarły się różnice. Często chłop wyprzedzał inteligenta, a robotnik kupca. Oddawali wszystko. O głodzie i chłodzie przekraczali obce granice. Ażeby bić się. Zamiast chleba kupowali karabiny, zamiast odzienia naboje.

Dlaczego ? Skąd ten zapał ? Wtedy kiedy narody o starej kulturze głosiły pacyfizm i antymilitaryzm, dlaczego naród polski rwał się do boju? Oddawał wszystko, nawet życie ?

Dlaczego ? Skąd to poświęcenie ? Skąd ofiary ludzi, którzy nie szukają żadnych korzyści ? Są gnani silnym instynktem, którego sobie często nawet nie umieją wytłumaczyć.

Zrozumieć to możemy tylko wtedy, kiedy zajrzymy w głąb naszych dziejów, spojrzymy na teraźniejszość z perspektywy tysięcy lat. Poznamy wtedy wielką Ideę, którą Twórca świata nakazał narodowi polskiemu. To Idea narodów słowiańskich. Drzemie ona w zasięgu uczuć, instynktów, tradycji i nadziei tych narodów. Dziś budzi się u Polaków i Jugosłowian, jutro obudzi się u Czechów, Ukraińców, Bułgarów i innych słowiańskich narodów. Bo to instynkt rasy. I rasy nie tylko młodej i, pełnej niezużytych sił moralnych, nie tylko rasy stanowiącej wielką część ludności Europy, lecz rasy, która przyniesie światu wolność i sprawiedliwość.

I żołnierz polski stanął na czele tych ideałów. Stąd jego duma i piękno moralne. Stąd podziw całego świata. Stąd święty ogień, który oświeca jego ciernistą drogę. Bo walczy i umiera nie tylko za Polskę, lecz za wolność wszystkich słowiańskich narodów. Dziś świat tego jeszcze nie rozumie, lecz zrozumie jutro. Tak jak i zrozumieją wszystkie narody, jak by się one nie nazywały.

Zrozumie i on sam ten głos sumienia, który mu nakazuje iść i umierać za Ideę tak, jak za Ideę Chrystus umarł na krzyżu. Dla tego Mickiewicz, w proroczym natchnieniu, nazwał Polskę Chrystusem narodów.

Powstaje nowy świat. Dziś już widzimy olbrzymie, pokryte mgłą kontury przyszłej Unii Słowiańskich Narodów, która łącznie z Wielką Brytanią i wyzwoloną piękną a tak nieszczęśliwą Francją zbudują nowy porządek świata. I żołnierz polski, jako wierny syn swego narodu, własną piersią osłania ten krzyżowy pochód Słowian do swego wyzwolenia.

Pogrążony często w rozterce duchowej zapytuje siebie, czy dobrze robi, idąc za nakazem niepojętej siły, która go zmusza cierpieć i umierać wtedy, kiedy świat jest tak piękny a życie ma tyle uroku.

Nie. Niech nie wątpi. Opatrznosć właśnie jego wybrała, ażeby wykonał wielką misję narodu polskiego. Jedno z największych zadań w dziejach ludzkości. Stać się nie tylko żołnierzem polskim, lecz i rycerzem słowiańskim. Który idzie w ich pierwszych szeregach z dumnym okrzykiem: DO BRONI SŁOWIANIE.

Lucjan Żeligowski

Naczelny Wódz w ostatniej swojej mowie, wypowiedzianej przed Radą Narodową wspomniał, że w "zatrutym światku emigracji londyńskiej pojawiły się ostatnio głosy oskarżające mnie, że zatraciłem Armię Polską we Francji." Wódz Naczelny skwalifikował te głosy, jako kalumnie. Przekonanie to podziela w całej pełni i Najwyższy Zwierzchnik Polskich Sił Zbrojnych, Pan Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd Polski i Rada Narodowa i wreszcie armia. My wszyscy, którzyśmy przeszli tę całą tak bolesną drogę z nad brzegów Sekwany aż do ujścia Garonny—od Nancy i Paryża aż po Le Verdon—wiemy najlepiej, jak ogromne wysiłki i zasługi przy ewakuacji Wojska Polskiego z Francji położył zarówno Wódz Naczelny, jak i Jego najbliżsi pomocnicy, generałowie Kukiel i Modelski. Pamiętamy te zimne noce na brzegu morza, kiedy Niemcy bombardowali ustawicznie zatokę i statki na redzie, a Dowództwo Naczelne zdwajało wysiłki, by jak najszybciej sprowadzić zbawcze okręty angielskie. Wyjechał po nie Wódz Naczelny, by w ciągu 24 godzin wrócić znowu do Francji i osobiście kierować ewakuacją. Wiemy—i wszyscy koledzy nasi wiedzą, z jakimi trudnościami, nie tylko technicznymi, ale i politycznymi trzeba było walczyć na ziemi francuskiej, aby zorganizować wyjazd wojsk polskich i ludności cywilnej.

Słowa Naczelnego Wodza, że "będzie dzielił los swych żołnierzy" — słyszeliśmy powtarzane jeszcze w Libourne i słyszeli je również ci, którzy wykorzystując dawne paszporty dyplomatyczne, wiali na pełnym gazie swych Rolls-Royców do granicy hiszpańskiej,- podobnie jak we wrześniu wiali do granicy rumuńskiej. Jedni już pojawili się u nas, drudzy nadciągną przez Madryt i Lizbonę, skoro dowiedzą się, że w Anglii nie jest tak źle i można się "urządzić" lub "zaczepić." Są to ci sami, których miał na myśli Generał, mówiąc o "zatrutym światku emigracji londyńskiej." Nie są to nowe typy, ani nie jest nową ich rozkładowa działalność. Znamy ich z przedpokojów rozmaitych ministerstw, z korytarzy "Reginy," nawet z obozów WP. Wciskali się wszędzie, ciągnąc jedni drugich i siuchtując na prawo i lewo, aby się tylko odbić, odkuć, odegrać. Byli bardzo mali i jeszcze potulni we Francji. Po klęsce Trzeciej Republiki przyszli do przekonania, że można spróbować wypłynięcia na szersze wody w Wielkiej Brytanii, podkopując rozmaitymi paszkwilami autorytet Naczelnego Wodza i legalnego rządu Rzeczypospolitej. Wydaje się im, jakoby klęska Francji zrehabilitowała ich działalność w kraju, jakoby można było zmienić lub wykoszlawić wyrobiony sąd społeczeństwa i już tu, na emigracji uchwycić chociażby część tej władzy, którą bezpowrotnie stracili w Polsce.

O tych wszystkich zakusach mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek mówić, gdyż, jak generał Sikorski wspomniał, przedmiotem tych kalumnii jest honor armii i jej Naczelnego Wodza. Powtóre, przed tego rodzaju akcją, nadzwyczaj szkodliwą, należy przestrzec wszystkich Kolegów, noszących polski mundur żołnierski. Trzeba powiedzieć wprost, że są typy, którym dla własnych, więcej niż niskich celów zależy, aby Wojsko Polskie, dotychczas hartowne jak stal-zaczęła żreć rdza zwątpienia, aby sączyć jad niewiary w ludzi, którzy w tak niesłychanie ciężkiej chwili kierują losami społeczeństwa.

Ale zwracając uwagę na słowa Naczelnego Wodza—możemy jednocześnie z całym spokojem stwierdzić, *iż wszystkie te kalumnie, gierki i podkopy—nie mają najmniejszych szans powodzenia.* Klęska Francji w niczym, ale to w niczym nie usprawiedliwia tego ogromu niedołęstwa, zaniedbań i win, popełnionych w Polsce. *Przeciwnie, sprawców katastrofy w* 1939 *obciąża jeszcze bardziej, gdyż porównanie Polski z Francją uwypukla jedynie energię, siłę i dynamizm społeczeństwa polskiego —te olbrzymie zalety narodowe, które w tak straszny sposób zostały roztrwonione i zmarnowane.*

Zatrute źródła

Jaka była przyczyna klęski Francji ? Przede wszystkim ta, że duża część narodu—przeżarta dosytem i bogactwem burżuazja francuska—więcej obawiała się własnego ludu, aniżeli Niemców. Byli to ci sami ludzie, którzy w 1938 roku doprowadzili do Monachium—a dzisiaj domagają się sądu nad "sprawcami wojny z Trzecią Rzeszą." Wyrazicielami tej nowej Targowicy są takie figury, jak np. Laval, który 12 czerwca 1940 na argument, że "Francja, kapitulując przed Niemcami, rezygnuje na 50 lat ze swej roli w polityce europejskiej" —odpowiedział:

—To prawda, ale za to w polityce wewnętrznej wykluczy wszystkie wpływy wywrotowe.

Ludzie ci byli i przed wojną zdeklarowanymi zwolennikami współpracy z międzynarodowym totalizmem—i z tego powodu cieszyli się dużym uznaniem i poparciem miarodajnych podówczas czynników w Polsce. Ci sami, którzy dzisiaj rozdzierają szaty nad "zgnilizną Francji" i twierdzą, że "to wszystko przewidzieli"—robili Flandinowi wcale niedwuznaczną reklamę w sanacyjnej prasie.

Poza tym na klęskę Francji złożyły się fakty niedociągnięć strategicznych, łączące się najściślej z ogólno-europejską polityką. Jednym z najbardziej istotnych powodów była neutralność Belgii. Churchill mówił w maju 1940 roku przed Izbą Gmin:

—Gdyby Belgia oświadczyła się we wrześniu 1939 *po naszej stronie-uratowalibyśmy nie tylko Belgię, ale może i Polskę.*

Bardzo głęboki i trafny sąd. Udział Belgii w wojnie, umożliwiłby we wrześniu 1939 roku podjęcie wielkiej ofensywy na Zachodzie, albowiem linia Zygfryda jakkolwiek doprowadzona do granicy holenderskiej, była bez porównania słabsza, aniżeli niemieckie fortyfikacje naprzeciwko linii Maginota. Operację, mającą na celu przerwanie linii Zygfryda i dotarcie do Renu—w razie oczywiście trwania wojny na Wschodzie—obliczał gen. Gamelin na okres trzech miesięcy. Fortyfikacje niemieckie koło Akwizgranu można było przełamać już bardzo szybko—może nawet po tygodniu walki. *Stanowisko Belgii było niesłychanie ważne, gdyż podjęcie ofensywy przez Francję zmieniło by zasadniczo nastawienie całego społeczeństwa a pierwsze sukcesy wytrąciłyby całej, ogromnej piątej kolumnie francuskiej i belgijskiej zatrutą broń z ręki.*

Otóż historia wykaże, kto w wielkiej mierze przyczynił się do wprowadzenia Belgii na tory fatalnej dla niej i dla nas—neutralności i paktowania z Trzecią Rzeszą. Wszyscy prawdziwi mężowie stanu w Polsce, jak i większość narodu zdawała sobie sprawę, że hegemonia Niemiec w Europie jest dla Polski groźbą nr. 1., że atak niemiecki na granice Rzeczypospolitej można odwrócić tylko przez tworzenie wielkiej koalicji, opartej na zasadzie wspólnego bezpieczeństwa. Warunki powstania takiej koalicji były jeszcze w 1934 roku. *Okazja ta została bezpowrotnie zmarnowana przez tych, którzy z wielkim planem Barthou podjęli niezrozumiałą ani dla Polski, ani dla Europy walkę.* Można twierdzić, że w polityce zagranicznej nie ma rzeczy złych lub dobrych. *Ale za to są i muszą być—konsekwencje.* Otóż oficjalna polityka sanacyjna była klasycznym przykładem niekonsekwencji. *Siedziano na dwóch stołkach—i tego rodzaju pozycję uważano za szczyt dyplomatycznego sprytu.*

Następstwa nie dały długo na siebie czekać.

"*Za to niezrozumiałe stanowisko*—mówił słusznie gen. Sikorski—*zapłaciliśmy jesienią* 1939. *Wadliwa polityka zagraniczna pogorszyła poważnie ogólne położenie strategiczne Polski, odsłaniając naszą lewą flankę przez oddanie Słowacji Niemcom.*"

I wreszcie czynnik najważniejszy. Mówi się "przegraliśmy wojnę z Niemcami," "nie zdołaliśmy się obronić" i td. Bardzo wadliwa konjugacja. Ani naród polski, ani żołnierz polski wojny nie przegrał. Społeczeństwo polskie wykazało i wykazuje w dalszym ciągu olbrzymi hart ducha i niesłychany wprost dynamizm silnego i nadzwyczaj odpornego narodu. *Jeżeli we Francji były grupy lub nawet odłamy społeczne, które z tych lub innych powodów nie chciały wojny z Niemcami—to w Polsce nie było nikogo, kto by poważał się na wysunięcie nawet myśli o kapitulacji.* Trzytygodniowa obrona Warszawy w najfatalniejszych warunkach strategicznych, kiedy nie mogło być żadnej nadziei pomocy lub odsieczy—jest wynikiem nie frazeologii speakerów radiowych, ale wielkości ducha i poświęcenia społeczeństwa. *Naród chciał walczyć, mógł walczyć, co więcej, mógł opierać się dłużej, aniżeli przez te trzy miesiące, jakich od nas żądała Francja.* I tak często używany dzisiaj zaimek "my"—jest również jednym z chwytów podstępnej propagandy. Nie "my" ponosimy odpowiedzialność za to, co się stało w Polsce. Winowajców określił stanowczo, jasno i dobitnie Wódz Naczelny w słowach, wypowiedzianych dnia 6 marca 1940 przed Radą Narodową:

"*Naród polski*—mówił gen. Sikorski—*wprowadzony w błąd, opuszczony i pozostawiony w chwili próby bez kierownictwa i rozkazów, bronił się zapamiętale. . . . Żołnierze polscy bili się świetnie . . . Armia polska nie uległa panice—nawet po zdradzieckim napadzie Sowietów.* Biła zaś Niemców wszędzie tam, gdzie znajdowały się siły pod materialnym względem na ogół równe. Nierówność była jednak zbyt wielka, ażeby wygrać tę tragiczną walkę. . . . *Przyszłość okaże, kto jest w Polsce odpowiedzialny za opóźnienie mobilizacji powszechnej, skutkiem czego w roku* 1939 *wystawiono i uzbrojono mniej dywizyj, aniżeli mogliśmy ich wystawić z końcem roku* 1925. Wykażą to dokumenty, że łudzono nas do ostatniej niemal godziny i nie wierzono w konflikt zbrojny z Niemcami, mimo, że dywizje niemieckie stały już nad polską granicą, o czym byliśmy dokładnie poinformowani. . . . Dlaczego do kwietnia 1939 roku nie istniał należycie opracowany i przedyskutowany plan wojny z Niemcami? Dlaczego improwizowano go w ostatnim momencie, wskutek czego ugrupowanie wstępne naszych wojsk było wadliwe, tak, że trudno je nazwać planem osłony a tym bardziej planem koncentracji? Dlaczego nie zabezpieczono należycie głównego kierunku natarcia, idącego od południa, a przede wszystkim z południowego zachodu? Dlaczego i kto zmarnował dwie armie rezerwowe? Dlaczego zlekceważono nowoczesną technikę wojenną, która poza lotnictwem polega na dobrze zorganizowanej obronie przeciwlotniczej, na broni pancernej i przeciwpancernej? Dlaczego utrzymano ilość pułków i jednostek kawaleryjskich, które zresztą biły się świetnie i po desperacku nawet z jednostkami zmechanizowanymi przeciwnika a zmniejszono ilość samolotów bojowych? *Tych ostatnich mieliśmy więcej z końcem roku* 1925 *aniżeli w* 14 *lat później, to jest w chwili wybuchu konfliktu!* Dlaczego polityka polska ostatnich czasów ułatwiła Niemcom powzięcie inicjatywy napaści?"

Generał Sikorski stwierdził, że pytania te będą musiały być wyjaśnione bez reszty. Rzucił je, według własnych swych słów, aby uspokoić wzburzoną opinię kraju i uchronić przed powtarzaniem starych błędów. "*Błędy innych państw*—mówił—*nie usprawiedliwiają nigdy omyłek własnych.*"

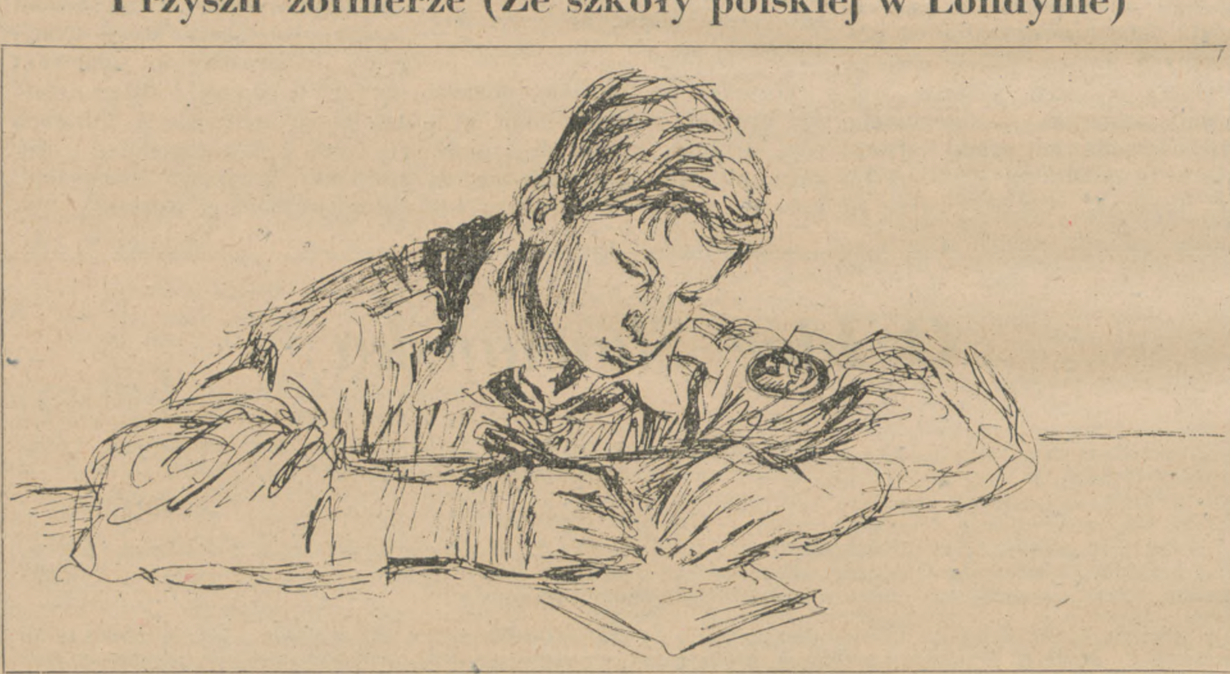
Słowa tę mają szczególne znaczenie w dzisiejszej chwili, kiedy niektóre zgrane politycznie i moralnie jednostki usiłują ratować się od ciążącej na nich winy przez klęskę Francji. Co gorsza, starają się utożsamić swe nędzne osoby z narodem polskim i uogólniać wypadki wrześniowe, twierdząc, że "w porównaniu z Francją nie było wcale tak źle, że zdaliśmy egzamin, że to, że owo."

Otóż nie, panowie. W porównaniu nie tylko z Francją, ale z każdym innym państwem Europy- *ze wspaniałym wynikiem zdał egzamin jedynie i wyłącznie naród polski.* I nikt nie ma prawa ani przerzucania ciężaru klęski, ani własnej odpowiedzialności na to nieszczęśliwe, lecz bohaterskie społeczeństwo.

Naród polski stał nieskończenie wyżej od swoich przed-wrześniowych przywódców—i to trzeba podkreślać przy każdej sposobności, gdyż z tym nie ulegającym wątpliwości faktem łączą się olbrzymie nadzieje na przyszłość. A o przeszłości można powiedzieć, że gdybyśmy mieli w latach poprzedzających wojnę innych kierowników—to innym również torem potoczyłyby się dzieje nie tylko Rzeczypospolitej, ale może całej Europy. *Rola tak dynamicznego narodu, jak polski mogłaby być wprost olbrzymia, gdyby nie została wykoszlawiona wbrew zdrowemu instynktowi społeczeństwa.* Możemy o tym spokojnie mówić i nie mamy się czego wstydzić, gdyż w życiu każdego narodu zdarzają się okresy złych rządów. *Ale to nie jest bynajmniej powód, aby te rządy czymkolwiek usprawiedliwiać lub, co jeszcze gorzej, do nich powracać.* I znaczenie słów Naczelnego Wodza, że nic nie jest w stanie zmniejszyć odpowiedzialności sprawców klęski wrześniowej—nie zostało bynajmniej przysypane popiołem katastrofy francuskiej. Przeciwnie, nabrały one w świetle ostatnich wypadków jeszcze większej aktualności.

Tadeusz Kiełpiński

Przyszli żołnierze (Ze szkoły polskiej w Londynie)





Rysował Feliks Topolski

Niemcy mają przeciwnika

Gdzieś trzeciego czy czwartego września ubiegłego roku zjawił się w urzędzie pocztowym w pobliżu Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie młody człowiek i przyniósł olbrzymią paczkę depesz. Musiało być w nich coś ważnego, bo urzędnik przyjął je natychmiast poza kolejką. Inni musieli czekać. Tego samego dnia powtórzyło się to kilka razy. Wysłano parę tysięcy depesz, różniących się tylko adresami: Taki a taki zginął dnia tego a tego na froncie. Ostatnia paczka przyniesionych depesz już nie odeszła. Odszedł natomiast, i to pod konwojem, człowiek, który je przyniósł. Stwierdzono, że nie był on wcale urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wojskowych, lecz ajentem firmy handlowej z zawodu, Niemcem z pochodzenia, a z zamiłowania jednym z "piątej kolumny," wtedy jeszcze w Polsce tak nie nazywanej. Zbierał długo i sumiennie, razem ze swymi przelicznymi towarzyszami, adresy tysięcy rodzin żołnierzy, powołanych do wojska—ale opłaciło się. W paru tysiącach wsi opłakiwano śmierć ojca, syna, brata czy męża, choć płakać nie było czego. Opłakiwani żyli i bili się pełni ognia. Teraz jednak matka żegnająca syna zgasi swymi łzami jego ogień—a o to tylko chodziło. Nieludzki pomysł zmierzał do osłabienia nas od wewnątrz, do siania paniki, do zatłoczenia naszych dróg uciekinierami.

Nad Żabinką, małym miasteczkiem, ale ważnym węzłem kolejowym, zjawił się niemiecki samolot. Obrony przeciwlotniczej ani wojska nie było, więc krążył zupełnie bezkarnie. Nagle obniżył lot: trzema bombami, rzuconymi na drewniane, przeważnie słomą kryte domki, zrobił swoje. Miasteczko zamieniło się w morze ognia a samolot, przeleciawszy ponad mostem na Muchawcu, zniknął gdzieś za lasem. Gdy po długiej chwili zawracał z nad lasu, poszło mu gorzej. Z lasu wychodził właśnie patrol; ostrzelał go pierwszorzędnie. Samolot co rychlej odleciał. Most na Muchawcu, był stary i drewniany, ale leżał na ważnej drodze, był więc pilnowany. Dwu wiejskich policjantów stało na dwu końcach i legitymowało obcych. Teraz zatrzymał się przy nich ów patrol. Most dawno nie był naprawiany—nie wiadomo czy wytrzyma ciężkie tanki. Oficer z paroma saperami zeszedł nad wodę obejrzeć belki, ale prędko wrócili. Wytrzyma, dzięki Bogu, stara, ale solidna robota. Nie długo jednak biedni policjanci mogli cieszyć się nadzieją odsieczy tanków. Nowa robota okazała się równie solidna. W kwadrans później wylecieli razem z mostem w powietrze.

Kto żył, nawet z okolicznych wsi, leciał do pożaru. Samolot nad polaną w lesie zrzucił dywersantów w mundurach polskich saperów. Mundury te na długi czas przedtem szyto w Berlinie, dokładnie według wzorów przysłanych z Polski. Na długi też czas przed wojną jechał sobie na kajaku przez Muchawiec pewien turysta. Zatrzymał się na parę dni u nauczyciela w Żabince. Zaprzyjaźnili się i nawet fotografowali się razem na polanie w lesie. Właśnie na tej samej . . . Jedno tylko zdjęcie nie udało się. Turysta przez omyłkę nastawił obiektyw "na nieskończoność" i nauczyciel na pierwszym planie wyszedł zupełnie zamazany, a most—jak mała plamka gdzieś daleko—bardzo ostro. Dużo pracy miał z powiększaniem specjalista-fotograf w Berlinie—ale opłaciło się. Ludność było oszołomiona niemiecką wszechmocą. Drogi zaroiły się uciekinierami. Ruchy wojsk stały się niesłychanie trudne.

Na froncie śląskim batalion był od dwu dni w ogniu. Z brawurą odpierał potężne ataki, często sprawdzając łączność z prawej i z lewej. Żołnierz wytrzymał kilka nalotów, ciężką artylerię, odparł dwa ataki tanków piechoty, ale trzeciej nocy, gdy zaczęły siec go niemieckie c.k.m.-y z tyłu—nie wytrzymał. Niemcy na tyłach. Widocznie łączność została przerwana.

Łączność nie była przerwana, ale Niemcy byli na tyłach. Był ich prawie milion w Polsce. Byli dyrektorami kopalń, koncernów przemysłowych, przedsiębiorstw transportowych, więc wcale nie było im trudno przemycać niemieckie c.k.m.-y pod towarem idącym przez granicę śląską. Potem długo czekały one na stosowną chwilę ukryte po stodołach, po strychach, zakopane pod klepiskiem, a nawet—jak w Wilnie—trzymane w trumnach na cmentarzu. Ciężka to była praca, ale opłaciła się. Wśród huku wysadzanych mostów, drogami zatłoczonymi pochodem płaczących matek i dzieci—bataliony cofały się.

Tak szli do zwycięstw. Dużo pracy wkładali w swą własną siłę, ale jeszcze więcej w osłabienie przeciwnika. "Nasza strategia to rozbicie wroga od wewnątrz, to zwycięzenie go przez niego samego," powiedział Hitler do Rauschninga. A więc przez łzy matek, które osłabią zapał synów, przez własną ludność, która zatłoczy drogi, przez własne żony niemieckiego pochodzenia, jak w Holandii, przez własne służące niemieckiego pochodzenia w Londynie itp. itp. itp.

I przez własne radio, z którego rozległa się niedawno ostatnia mowa Hitlera. Był to także jeden z elementów tej wspaniale zgranej niemieckiej maszyny wojennej. Ta sama metoda rozbicia od wewnątrz przez zastraszenie. Przyjaźni z Anglią zawsze pragnął i pragnie, nie widzi powodów do dalszej wojny, więc proponuje pokój, bo w przeciwnym razie—wiele angielskich kobiet będzie płakało po mężach i dzieciach. Słusznie amerykańska prasa nazywa tę mowę mistrzostwem fałszu i obłudy.

Anglia zbyt dobrze wie, czym byłby pokój teraz zawarty. Gdy w środku Europy w dwudziestym wieku wybucha szał pogardy dla idei chrześcijańskich i szał kultu dla rasy germańskiej, jedynym wyjściem jest zniszczenie tych szałów. Pokój zawarty teraz byłby tylko zawieszeniem broni przed nową wojną. Zbyt otwarcie głosili apostołowie nowych Niemiec wiarę w konieczność wojen i pogardę dla zgniłego pacyfizmu, aby dziś można wierzyć w szczerość ich pragnień zapewnienia Europie pokoju. "Czyn jest przeznaczeniem nordyka, a koroną czynu jest wojna!"—głosi Rosenberg, teoretyk partii narodowo-socjalistycznej w Niemczech, i chowa młodzież w tym duchu. Trudno łudzić się trwałym pokojem po wojnie przerwanej w połowie.

Zwłaszcza, że osiągnięto istotnie wiele w sprawach tego "ducha." W armii niemieckiej, a może i nawet w całym narodzie niemieckim, zjawiło się istotnie coś, co można by—za szwajcarskim psychologiem Jungiem—nazwać jakąś "duszą zbiorową." To już nie armia, przeniknięta jednym duchem, lecz raczej naród mający jedną duszę. W gromadzie mrówek idących do ataku całe mrowisko ma jedną duszę. Każda mrówka wyczuwa, zdaje się, całą ciemną masę swego mrowiska i jest przede wszystkim częścią całości. Instynkt walki o byt przeniósł się z jednostki na mrowisko—jednostkę wyższego rzędu. Podobnie instynkt walki o byt narodu zapanował nad instynktem jednostki. Młody Niemiec ginie na dnie Moseli, ale po jego tanku idzie na Paryż armia jego—jednostka wyższego rzędu, w której on żyje dalej.

Powie ktoś, że to stado? Nie warto spierać się o wyrazy-sądzę jednak, że nie. O stadzie mówimy wtedy, kiedy cechy jednostkowe zanikają. Na przykład, gdy w czasie paniki u wszystkich zapanują jednakowe odruchy, obce ich charakterom. Niemiecki oficer, którego poznałem pod Siedlcami, nie miał, niestety nic ze stada, gdy poważnie i z przekonaniem wyjaśniał mi, że być na froncie to dla Niemca zaszczyt, do którego tylko Niemiec czystej krwi jest dopuszczany. Ten człowiek zachował wszystkie swoje dawne cechy włącznie z monoklem i miłością do piwa, cygara i ciężkiej filozofii—ale zdobył jeszcze jedno. Zdobył przekonanie — więcej nawet—zdobył poczucie, że jest komórką całości, którą jest naród niemiecki. Zdobycz to większa, niż może wydawać się na pozór.

Niemcy nie spotkali duszy zbiorowej w Polsce. Pojawiała się ona u nas na pewnych odcinkach życia czy frontu, ale nie było jej w całości narodu. Auta, mknące gościńcami na wschód a przeładowane prywatnymi żywymi i nieżywymi skarbami, były smutnym dowodem, że pewne warstwy były u nas bardzo odległe od narodu. Nie spotkali Niemcy tej duszy i w Holandii i w Belgii i w Norwegii i we Francji. Dowodów można by przytoczyć dużo zaczynając od Leopolda III—go, a kończąc na marszałku Pétain, zupełnie oderwanym od swego narodu. A w Anglii? W tym kraju najwyżej rozwiniętego poczucia wolności człowieka?

Dusza zbiorowa nie została przez przyrodników "wynaleziona." Istniała one zawsze, na wiele czasu przed Jungiem, który się nią teraz zajmuje. Każde wielkie i dobrze prowadzone przedsiębiorstwo, w którym panuje dobra atmosfera pracy, wytwarza się coś podobnego, gdy pracownicy rozumieją i co ważniejsza czują silną jedność. Gdy przestają liczyć godziny swej pracy, bo czują, że firma i oni—to jedno, że firma—to oni sami. W wyższym stopniu wytwarza się coś podobnego na każdym okręcie, gdy "zgrana" załoga stworzy silną całość. Kucharz, marynarze i kapitan statku—to ludzie zupełnie różni i o różnych wartościach. Jeden lubi karty, drugi wódkę, a trzeci dziewczyny. Ale razem są załogą, która jest czymś więcej, niż sumą. Więcej o wspólną dolę, o gotowość poświęcenia, o miłość do statku. To coś, co się wytwarza, nazwał J. Conrad-Korzeniowski duszą statku.

Wielka Brytania miała w sobie zawsze coś z duszy załogi na statku. Czy dlatego, że była i jest narodem marynarzy, czy dlatego, że ma trzecią część statków całego świata, czy dlatego, że Anglia jest sama jednym wielkim statkiem otoczonym morzem wytworzyło się coś dziwnego, co na pozór nie harmonizuje z trzeźwością, ze spokojem, opanowaniem, chłodem Anglika. Ten trzeźwy i chłodny Anglik stoi do ostatniej chwili na mostku kapitańskim storpedowanego "Arandora Star"—i z nim idzie na dno. . . W imię honoru? Niewątpliwie — ale jakiego? Chyba nie swojego osobistego, bo wszystko, co swoje i osobiste właśnie idzie na dno. Więc? Więc raczej w imię honoru statku, marynarki brytyjskiej, całego narodu, jego przeszłości i przyszłości. Imperium Brytyjskie wytworzyło poczucie wielkiej jedności w przestrzeni i czasie a nawet w świecie idei, jedności wyższego rzędu, dla której bez wahania poświęca się jednostka niższego rzędu—tak bardzo szanowany w Anglii człowiek.

Pierwszy raz w tej wojnie spotkają się Niemcy z duszą zbiorową drugiego narodu.

Antoni Wojski

Królowo Korony Polskiej módl się za nami z Glasgowa

Jest i pozostanie rzeczą niezmiernie charakterystyczną, iż pierwszy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, jaki znalazł się w kościele na ziemi szkockiej, został wykonany przez malarza-żołnierza i przez żołnierzy polskich ofiarowany parafii Matki Boskiej z Lourdes w Glasgowie. To przepiękne nawiązanie do tradycji rycerskiej Polski świadczy chlubnie o nieustannym kulcie naszego narodu do Bogurodzicy z pod Grunwaldu i Królowej Korony Polskiej króla Jana Kazimierza. Jak w roku 31 i 63 modlili się do niej dziadowie i pradziadowie nasi, tak dziś za nimi wołaliśmy tu w szkockim kościółku:

"*Niech się odrodzi na nowo,*
Twój naród, Poska Królowo!"

Zbyteczne było by taić, że tego pamiętnego wieczoru, w niedzielę 21. lipca, ogarnęło nas przeogromne wzruszenie, kiedy w tym obcym kościele, na obcej, dalekiej ziemi, spojrzały ku nam z za jarzących się świec i kwiecia, poważne a miłościwe oczy Bogarodzicy, tej tam z Częstochowy. . . . Modliliśmy się z całą najmocniejszą gorliwością dusz, powtarzając za polskim kapelanem wołanie:

"Jak nam hetmaniłaś tyle wieków, tak i teraz prowadź nas do zwycięstwa!"

Dzieje tego obrazu przejdą do historii, tak skrzętnie notującej objawy religijności Polaków. A dzieje to proste, acz tkliwe, jak tkliwe były te serca, które przez ten obraz okazać chciały wdzięczność obcej ziemi, za serca i domy, otwarte przed ich niedolą.

Odrzucał nasz żołnierz wszystko, co posiadał w tej tułaczej doli, kiedy wracał z Norwegii a potem z Francji do Anglii. Lecz pozostał medalik częstochowski, ręką matki na piersi syna zawieszony, kiedy szedł do walki z śmiertelnym wrogiem. Z medalika na płótno przeniósł rysy Bogurodzicy Józef Natanson żołnierz Brygady Podhalańskiej. A kiedy garstka Podhalańców znalazła w Glasgowie chwilową przystań w pobliżu kościoła Matki Boskiej z Lourdes, za okazaną pomoc i opiekę, proboszczowi tej parafii, postanowiła dać do kościoła obraz-kopię z cudami słynącej Częstochowy. Tak tedy po przeniesieniu pułku w dalszą okolicę, przybyła do Glasgowa delegacja Podhalan z chórem, spełnić postanowiony ślub.

Gościnny proboszcz zaprosił uczestników najpierw na tradycyjną angielską herbatkę, aranżowaną przez komitet Akcji Katolickiej. Po zajęciu miejsc przez gości, przy długich białych stołach, zgotowano miłą niespodziankę: na galerii rozległy się dziecięce głosiki, śpiewające po angielsku . . . nasz hymn narodowy. Porwali się wszyscy z miejsc. Wzruszenie odmalowało się na twarzach.

Te dzieci—to też uchodźcy. Pierwsi a dajże Boże, oby ostatni, uchodźcy z ziemi angielskiej. To dzieci z wysp angielskich w Kanale La Manche, okupowanych przez wojska niemieckie. Proboszcz parafii "Our Lady of Lourdes," ks. Golbraith, jakaś jak widać na wylot poczciwa dusza, zaopiekował się losem parudziesięciu chłopczyków, których umieszczono w domu parafialnym. I oto na osłodzenie doli uchodźców-dzieci przyprowadził ich do polskiego żołnierza-tułacza, żołnierza-bohatera, który odtąd będzie w małych duszyczkach angielskich wzorem bohaterstwa i poświęcenia dla ziemi rodzinnej.

Po hymnach, polskim i angielskim, potoczyły się serdeczne przemówienia. Rozpoczął je ks. Golbraith, przeplataną mową angielsko-francuską, aby być lepiej przez Polaków zrozumianym. Słowa swe poświęcił rycerskim cnotom narodu polskiego, dając wyraz szczególnej radości, iż los pozwolił mu się zbliżyć do polskiego żołnierza.

Z kolei przemawiał Gen. Dreszer, podnosząc niezwykłą gościnność całej Anglii a w szczególności Szkocji i miasta Glasgowa. Dalszą część przemówienia skierował mówca ku aktualnym zagadnieniom, mówiąc o istocie więzów, łączących nasze narody. "My, ludzie wojny, przyszliśmy tu pełnić żołnierską powinność i z tego cieszymy się przede wszystkim, iż Wielka Brytania ma tę samą, co i my niezłomną wolę, by w wojennym trudzie, ofiarą krwi, wywalczyć lepszą dolę świata, przywrócić wolność uciemiężonym narodom."

Następnie zabrał głos Płk. Chłusewicz dziękując ks. Golbraith za serce i pomoc dla Brygady Podhalańskiej, dał wyraz tej serdecznej czci, jaką od wieków żywi żołnierz polski dla Bogurodzicy, do której w codziennym pacierzu zanosi modły o odzyskanie wolności. W końcowej części przemówienia złożył obraz Matki Boskiej Częstochowskiej na wieczny dar kościołowi Matki Boskiej z Lourdes.

Uroczystość, której nastrój przenosił nas sercem do kraju rodzinnego, przeplatana śpiewem chóru podhalańskiego, przeciągnęła się parę godzin. Na zakończenie przemawiał jeden z radnych miasta Glasgowa, który z prawdziwym polotem odmalował los Polaków, wyrzuconych z domów, pozbawionych rodzin, walczących o wolność wspólnie z armią brytyjską i najserdeczniej życzył wszystkim powrotu do ojczyzny, odnalezienia rodzin i odbudowy z gruzów miast i wsi polskich oraz polskiej państwowości.

Po herbatce przeszli wszyscy do kościoła, przepełnionego miejscową publicznością szkocką. Odbyło się uroczyste poświęcenie obrazu polskiego oraz nabożeństwo różańcowe w dwóch językach. Dwaj kapłani przemawiali w obu językach, a obok chóru miejscowego śpiewał polskie pieśni chór Podhalański.

W angielskim kazaniu o dziejowej roli Polski, jako przedmurza chrześcijaństwa i kultury zachodniej, wyraził kapłan głęboką wiarę w zmartwychwstanie naszej ojczyzny i wzywał swych parafian do modłów przed nowym obrazem Matki Bożej Polskiej, zwanej przez jej wierny lud Królową Korony Polskiej, aby przywróciła znowu wolność uciemiężonej Polsce.

Odjeżdżającym późnym wieczorem z przed kościoła żołnierzom podhalańskim zgotowano długą i serdeczną owację.

Jadwiga z Glasgowa

Z WIERSZY "DO MEGO SYNA"

Synu mój, któryś w twoich młodych latach
poznał, co klęska, przemoc i wygnanie,
coś wywędrować zdążył na kraj świata—
niechaj cię twoja tułaczka nie złamie.

Niech cię nie złamie, nie przygnie do ziemi,
ciebie, coś walczył, a nie poległ w boju.
Dzielisz tułaczkę ze mną i z wszystkimi,
którzy wśród ruin jeszcze z bronią stoją.

Pamiętaj: walka dalej trwa—i póki
tchu starczy w piersiach, a sił w twojej dłoni,
masz ciągle walczyć.
Wolności nie kupisz;
da ją nam męstwo w ojczyzny obronie.

Bóg ci jest tarczą, nadzieją—zwycięstwo,
a przyjaciółmi—Polski przyjaciele.
Kto się nie ugiął bezwolnie pod klęską,
przed tym zwycięstwa złoty szlak się ściele.

Antoni Bogusławski

Co to jest Imperium Brytyjskie

III.

Drogi Redaktorze,

W tych końcowych uwagach o Imperium Brytyjskim—po przerwie, która napewno wyszła na dobre Pańskim Czytelnikom—chciałbym zabawić się w proroka na temat losów *British Empire*.

Nie ulega kwestii, że dla tworu tak osobliwego, elastycznego i "tkliwego" (słowo to wydaje mi się najbliższe angielskiego *vulnerable*), jakim jest *British Empire*, wojna stanowi próbę wytrzymałości. Wojna światowa dokonała zdecydowanie sementowania Imperium, dowodząc, że w ogniu konfliktu *British Empire* wydobył pełne swoje zalety i cnoty. Dostarczył siły ludzkiej i to siły wyborowej (wyczyny Kanadyjczyków na Zachodzie a tzw. "Anzaców"—skrót z dwóch nazw: Australijczycy i Nowozelandczycy—na Bliskim Wschodzie, są dobrze znane z dziejów wojny światowej). *British Empire* rzucił w wojnę światową swoje surowce, złoto, zasoby materialne, sprzęt wojenny, floty wojenne.

W wojnie obecnej udział Dominiów i Kolonij brytyjskich będzie jeszcze poważniejszy. Jest to zrozumiałe z trzech powodów; świadomość narodowa Dominiów, a raczej poczucie wspólnoty wzrosła w członach *Empire*, zasoby materialne Dominiów uległy pomnożeniu, siła ludzka powiększyła się.

Kanadyjczycy są dzisiaj w sile dwóch dywizyj (plus siły pomocnicze) w Anglii, w samej Kanadzie powstaje armia, która dojdzie do 700.000 i będzie gotowa do akcji zaczepnej w Europie. Piloci kanadyjscy zasługują się doskonale na maszynach R.A.F., *Royal Air Force*, Królewskiej Floty Powietrznej, flota wojenna Kanady rośnie na siłach, jednostki tej floty znajdują się również w służbie na wodach angielskich. Produkcja sprzętu wojennego w Kanadzie idzie szybko: na razie Kanada produkuje miesięcznie 100 samolotów bojowych, ale niebawem będzie ich wytwarzać ok. 350 na miesiąc. Produkuje ona również poważne ilości samochodów wojskowych, czołgów, taborów; stocznie kanadyjskie pracują nad budową okrętów nawodnych i podwodnych.

"Anzacowie" zjawili się na Bliskim Wschodzie, rozbili obozy w Palestynie. Są doskonale wyposażeni. Lotnicy Australii i Nowej Zelandii byli już nieraz nad Niemcami. Flota australijska rośnie. Pogotowie zbrojne tego kraju wykazuje stały przybór.

Płd. Afryka zaznaczyła się działaniami lotniczymi w Abisynii i Libii. Posłała tam swój pierwszy legion. Flota Unii Płd. Afrykańskiej również wzrasta.

Indie, Malaje, Hong-Kong dostarczyły poważnych sum pieniężnych na cele obrony *British Empire*, żołnierze z pogranicza indyjskiego walczyli we Francji.

Ten udział Imperium ma olbrzymie znaczenie moralne: wspólnota jego wykazuje spoistość, budowa krzepnie i zrasta się jeszcze silniej. Ponadto Imperium dostarcza wspaniałego materiału ludzkiego: ludzi rześkich, krzepkich, pełnych sił i energii, zapału i wiary. Rasa imperialna, to dobra rasa ludzka.

Dlatego jest nieodżałowaną szkodą, że jest jej—tak mało. Albowiem Kanada ma tylko 10 milionów ludności na obszar większy od obszaru Stanów Zjednoczonych, Australia niespełna 7. Fachowcy powiadają, że nie da się tam osiedlić więcej ludzi, że olbrzymie połacie kraju są nieuprawne, że nie można ryzykować bezrobocia. Wszystkie te dowodzenia nie trafiają do przekonania. Bardziej stanowcza polityka osiedleńcza, bardziej śmiały wpływ rządów Dominiów dałby sobie radę z takimi zagadnieniami. Jest rzeczą jasną, że Dominia będą musiały zaludnić się w większej mierze, jeżeli chcą przetrwać ciężkie chwile, które je czekają. Rozrost Japonii nie da spokoju Australii czy Nowej Zelandii. Płd. Afryka także będzie musiała pomnożyć swój stan posiadania w ludziach.

Wszystko wskazuje na to, że przyszłość Imperium leży w połączeniu się i współpracy ze Stanami Zj. Jeżeli chodzi o Australię i N. Zelandię, to ze względu na zazębianie się interesów Ameryki i Imperium na Oceanie Spokojnym porozumienie takie było by łatwe, jeżeli chodzi o Kanadę, to ze względu na przynależność jej do lądu amerykańskiego, jeszcze łatwiejsze.

British Empire i United States of America to przyrodzeni sprzymierzeńcy: zjednoczeni mową, wspólną historią, interesami. Ich zasoby materialne uzupełniają się idealnie. Porozumienie się tych dwóch potęg wydaje się nie tylko celowe, ale niemal konieczne: Ameryka ma do dania *British Empire* energię ludzką, bogactwo, Anglia tradycję i historię, sztukę rządzenia. Dopiero te dwie potęgi połączone ze sobą mogą pokusić się o panowanie nad światem, mogą zabezpieczyć całemu światu *nowy, sprawiedliwy ład*.

Miejmy nadzieję że wypadki pójdą w tym kierunku. Jeżeli USA przystąpią do wojny, to wtedy powiązanie się *British Empire* ze Stanami Zj. będzie rzeczą nader ułatwioną. Taki obrót rzeczy stanowiłby wstęp do jednej z najbardziej zwrotnych przemian dziejów, które byłyby odczute na całym globie.

Zbigniew Grabowski

Demokracja angielska

Przed Westminsterem, siedzibą parlamentu angielskiego, stoi samotny pomnik. To pomnik Olivera Cromwella-królobójcy. To, że w Anglii, która po dziś dzień jest monarchią, parlamentu strzeże pomnik człowieka, który króla Anglii posłał na szafot ma znaczenie symboliczne. Pomnik Cromwella mówi wyraźnie, że wszelki zamach na swobody angielskie będzie zawsze odparty z największą siłą.

Na swobody angielskie. Rewolucja francuska w trzech hasłach ujęła istotę demokracji: *Liberté, égalité, fraternité*—Z tych trzech haseł braterstwo jest niestety dopiero muzyką przyszłości, z dwóch pozostałych francuska demokracja starała się przede wszystkim urzeczywistnić hasło równości, angielska—hasło wolności.

Francja była istotnie przede wszystkim równościowa, nie znosiła organicznie żadnych przywilejów. Nauczanie powszechne było istotnie powszechne i system stypendiów dawał zasadniczo każdemu Francuzowi możność ukończenia studiów. Powszechność służby wojskowej szła tak daleko, że książa musieli nosić tornister żołnierski. Murzyn, czy Annamita, skoro tylko był obywatelem francuskim, miał równe prawa z Francuzami, i widzieliśmy murzyńskich ministrów, murzyńskich Wiceprezesów Izby Deputowanych. Ograniczenia wolności natomiast Francuz przyjmował względnie łatwo, byle były one powszechne. Tym się tłumaczy zgoda na dyktaturę Napoleona III, tym się tłumaczy podczas obecnej wojny zgoda na zmniejszenie roli parlamentu, na skrępowanie prasy.

Demokracja angielska jest natomiast przede wszystkim demokracją wolnościową. Przyjmuje ona pewną hierarchizację, stopniowość, nierówność w społeczeństwie, akceptuje pewne przywileje. Nie należy oczywiście tej hierarchizacji, ani znaczenia tych przywilejów przeceniać. Jest nawet bardzo niebezpieczne chcieć z istnienia tej hierarchizacji wyciągać wnioski o "arystokratyźmie" życia angielskiego. Anglia dzisiejsza bowiem daleka już jest od epoki wiktoriańskiej, czy nawet edwardowskiej. Ta hierarchia, te przywileje pozostały jako nieszkodliwe zabytki tradycyjne, tak samo, jak peruki sędziów i adwokatów, albo krótkie spodenki i pończochy na przyjęciach królewskich, albo wreszcie tytuły szlacheckie, które nawet przywódcy robotników niekiedy przyjmują. Wszak Walter Citrine jeden z szefów syndykatów jest dzisiaj Sir Walter Citrine.

Politycznie przywileje te przestały istnieć. Najlepiej wykaże nam to porównanie systemu dwuizbowości w Francji i w Anglii. Senat francuski był wybieralny-Izba Lordów jest dziedziczna. Tylko, że Senat francuski odgrywał kolosalną rolę w życiu politycznym Francji, przez całe lata był ostoją republikanizmu, Izba Lordów zaś nie ma żadnego znaczenia politycznego. Ostatnia próba lordów, aby odegrać rolę polityczną datuje z roku 1909. Lloyd George, minister skarbu rządu Asquitha wniósł wtedy budżet, który lordowie uznali za rewolucyjny, albowiem uderzał on w wielkie fortuny. I Izba Lordów budżet odrzuciła. Rozpisano nowe wybory, które znów dały większość Asquithowi i partii liberalnej. I wtedy pod groźbą mianowania przez króla dostatecznej liczby nowych lordów by budżet przeszedł, lordowie nie tylko przegłosowali budżet, ale i nowe prawo o parlamencie, które raz na zawsze uniemożliwiło obstrukcje Izby Lordów i dało Izbie Gmin właściwie całość władzy prawodaczej.

W jednej z mów wygłoszonych przy tej okazji Asquith wspaniale scharakteryzował istotę rządów w Anglii i stosunek do władzy królewskiej: "Przyzwyczajony jestem do tego, że podobnie, jak Lordowi Greyowi, tak i mnie zarzuca się łamanie konstytucji, a nawet zdradę Korony. . . . Stale starałem się utrzymać honor i, słuszne przywileje Korony. Ale stanowisko moje zawdzięczam nie tylko łasce Korony, ale zaufaniu całego narodu. I w istocie byłbym winny zdrady, gdybym w tym momencie rozstrzygającej walki zaufanie to zdradził."

Historia ustąpienia z tronu Edwarda VIII jaskrawo wykazała zresztą prawdę tych słów. Przywileje w Anglii istnieją, póki są nieszkodliwą dekoracją-w momentach decydujących rozstrzyga, bez względu na przywileje, wola parlamentu, jako wyraziciela woli narodu.

Zasadniczym zaś rysem demokracji angielskiej jest poszanowanie swobód obywatelskich. *My house is my castle*—"Mój dom jest moją fortecą"—oto istotne wyznanie wiary każdego Anglika. Swoboda w każdym tego słowa znaczeniu: swoboda przekonań, słowa, życia oto palladium każdego angielskiego obywatela. Pomimo wojny nie ma w Anglii cenzury pism, wszelkie zaś próby ograniczenia swobody prasy spotykają się ze stanowczym oporem ze strony wszystkich. Jak zaś szanowana jest swoboda przekonań tego najlepszym dowodem jest traktowanie *conscientious objectors*. "Conscientious objector" — to człowiek, któremu jego przekonania religijne lub filozoficzne zakazują udziału w wojnie. Otóż pomimo obowiązku powszechnej służby wojskowej i pomimo wojny Anglia dziś jeszcze uznaje, że takie przekonanie zwalnia od służby wojskowej, o ile się je potrafi przed sądem udowodnić. Dodajmy od razu, że na miliony powołanych do wojska zaledwie kilka tysięcy powołało się na takie przekonania.

Kult swobody Anglików długo nie dopuszczał do powszechnej służby wojskowej: uważali oni, że państwo nie ma prawa zmuszać obywateli nawet do obrony ojczyzny. Kult swobody ograniczał do minimum wkraczanie państwa w życie i gospodarkę. Koleje, szpitale, szkolnictwo-to wszystko, co w Europie kontynentalnej oddawna było upaństwowione, w Anglii pozostawało do czasów ostatnich prywatnym przedsiębiorstwem.

Wojna obecna poczyni niewątpliwie głębokie zmiany. Z pierwszym jej dniem została ogłoszona powszechna służba wojskowa. Państwo powoli obejmuje kontrolę nad produkcją w interesie ogólnym. Tak samo zapewne znikną niektóre z innych "swobód," które pokrywają sobą jedynie pewne przywileje. Tak samo zresztą w połowie XIX-go wieku znikła w Anglii "swoboda" pracy małych dzieci w fabrykach, "swoboda" nieograniczonego ustawowo dnia pracy.

Ale istotne swobody obywatelskie pozostaną nietknięte. Pozostanie nietknięta naczelna zasada demokracji angielskiej: Państwo *istnieje dla obywatela, a nie obywatel dla państwa.* Tę zasadę sponiewierali dyktatorzy, uczyniwszy z obywatela niewolnika państwa i wprzęgnąwszy go do nikczemnego dzieła wprzęgania w jarzmo wszystkich innych.

Czesław Poznański

WINSTON CHURCHILL

Zapadał łagodny, różowy zmierzch. Właśnie w dniu tym, 10 maja 1940 r., rozgorzała wojna na zachodzie. Trzask bomb zakłócił ciszę miast flandryjskich, spłoszył wiekową drzemkę holenderskich wiosek. Od Renu ruszyła, ogniem płonąca, najpotężniejsza armia, jaką oglądał świat. Naprzeciw niej ruszyła belgijskimi szosami brytyjska armia ekspedycyjna . . .

W niewielkim domku na Downing St. rozmyślał stary, siwy pan. Neville Chamberlain zdawał sobie sprawę z grozy burzy, która nareszcie nadciągnęła, której łoskot piorunów już grzmiał z daleka. Lecz miał zadanie bliższe, bardziej jeszcze naglące. Głosowanie w parlamencie w dniu poprzednim dało mu wprawdzie większość, lecz zmniejszoną do 80 głosów. Rozmowy z przywódcami opozycji wykazały, że rządu jedności narodowej pod jego, Chamberlaina, przewodnictwem utworzyć się nie da. Stary premier mógł zostać. Był nadal przywódcą stronnictwa konserwatywnego, rozporządzającego większością i w Izbach i w kraju. Od niego tylko, skoro już postanowił ustąpić, zależał wybór nowego premiera. Konstytucyjnie Król nie miał innej drogi, niż zapytać się Chamberlaina, komu ma powierzyć utworzenie gabinetu: bo przecież opozycja pozostawała w mniejszości, a stronnictwo rządzące nie wypowiedziało Chamberlainowi posłuszeństwa. Kto inny by kręcił. Premier mógł wskazać na lorda Halifaxa, swego przyjaciela, któryby mu najbardziej dogadzał. Halifax by znalazł większość w Izbach, poparcie konserwatystów. Lecz Chamberlain czuł, że opinia domaga się Churchill'a. Że on, on jeden tylko, dorasta do wymagań chwili. Że na niego, na niego wyłącznie skierowane są oczy i nadzieja.

Churchill! Ten wróg największy! Ten człowiek, który dziesięć lat najbardziej zajadle, najbardziej złośliwie, najbardziej drażniąco krytykował, ośmieszał, wyśmiewał i rząd, i samego premiera. Ten człowiek zdolny, i butny, i hardy—dziecko szczęścia, głośny, i znany, i wpływowy już w czasach, gdy o Nevillu Chamberlainie nikt jeszcze nie wiedział. Tak, Churchill to wielki talent. Ale czy nie pozostał on cudownym dzieckiem, mimo bitej sześćdziesiątki, czy nie jest to zbyt wielki ryzykant, czy można powierzać losy Anglii temu genialnemu fantaście. Stary Chamberlain, przedstawiciel wszystkich cnót i wad angielskiej klasy średniej, wzdrygnął się. Lecz czuł, że jest za późno. Innego wyboru nie było.

Stary człowiek wyprostował się. Zapomniał, że jest Nevillem Chamberlainem. Pamiętał tylko, że jest premierem brytyjskim, że od jego charakteru i uczciwości zależy utrzymanie godności i powagi najwyższego urzędu w Imperium brytyjskim. W uszach zadzwoniły mu być może słowa, które jego poprzednik, Baldwin, wypowiedział w innej chwili dla konstytucji brytyjskiej krytycznej, z okazji debaty o abdykacji Edwarda VIII-go. "Gdy się dowiedziałem, mówił Baldwin, o plotkach, krążących na temat Jego Królewskiej Mości i pewnej damy, doszedłem do przekonania, że król potrzebuje rady, i że udzielić mu tej rady ma prawo i obowiązek jeden człowiek tylko, a tym jest premier." Chamberlain wsiadł do samochodu, zasunął cylinder na czoło—i jadąc do królewskiego pałacu, jechał już tylko jak premier, który spełnia obowiązek, który wykonywa rytuał nakazany konstytucją, który poświęceniem osobistym ratuje powagę godności, stałość ustroju.

W pięć minut później z admiralicji wytoczyła się druga czarna limuzyna: Churchill był wezwany do króla. Co myślał on w tej chwili, na krótkiej przestrzeni The Mall, gdy pędził wśród młodej zieleni kasztanów, w łagodnym blasku zachodzącego słońca? Czy może wspominał lata kadeta w Sandhurst, dokąd został odesłany przez twardego ojca, uważającego, że młody nicpoń na nic lepszego się nie nadaje, niż na zawodowego oficera? Czy też lata burzliwe, spędzone na wojaczce w Afryce, w Indiach i na Kubie? Czy też pierwsze swe występy w Parlamencie, już 40 lat temu, gdy bawił impetem dostojnych swych wujów, a liczni kuzyni przyjaciele prorokowali mu już wtedy premierostwo? Czy też czasy, gdy po dardanelskiej klęsce, musiał przed komisją śledczą tej samej Izby tłumaczyć się i usprawiedliwiać? Czy też obiad z Lloyd Georgem 11 listopada 1918 r., w dniu zwycięstwa, gdy obaj się już zastanawiali jak Niemcy podźwignąć z upadku i klęski? A może mignęła mu przed oczyma postać wielkiego przodka, założyciela magnackiego rodu Churchill'ów, pierwszego księcia of Marlborough, "największego bohatera i największego łotra, jakiego Anglia wydała"? A może myślał tylko, w swej duszy starego marynarza, że oto wchodzi na mostek kapitański w chwili, gdy sztorm się zerwał, gdy fale wzbierają, gdy wicher łomoce, gdy trzeszczą wiązadła, gdy siły załogi opadają, a pasażerowie truchleją? Że na nim, na kapitanie, spoczywa odpowiedzialność za statek i ludzi; że musi wyprostować żagle, wyprostować ster, wypłynąć na spokojne wody—lub też zginąć.

Churchill wszedł do wielkiego salonu. Z za framug okien dochodziła woń bzów i magnolij, śmiechy dzieci i świergot ptaszków na zielonych trawnikach parku świętego Jakóba, ogrzanych ostatnimi promieniami gasnącego dnia, owianych już mgłą zapadającego zmierzchu

Z za ciężkiego mahoniowego biurka, inkrustowanego bronzem i złotem, wstał młody, szczupły, milczący monarcha. Wyciągnął białą, bladą rękę. Stary Churchill ujął zgarbione plecy, i, w myśl prastarego zwyczaju ucałował rękę królewską. Był premierem Wielkiej Brytanii.

Krzysztof Morawski

Premier pragnie powiadomić wszystkich, że możliwości niemieckich prób inwazji nie należy bynajmniej uważać za rzecz minioną.

Fakt, że Niemcy rozpuszczają obecnie pogłoski, iż nie zamierzają dokonać najazdu na Anglię uważać należy za podwójnie podejrzany, tak, jak wszystkie wypowiedzenia i oświadczenia niemieckie.

Poczucie rosnącej siły i pogotowia nie może prowadzić do najmniejszego osłabienia i rozluźnienia naszej czujności i najpilniejszej uwagi.

Oświadczenie Winstona Churchilla z dn. 3 sierpnia b.r.

Kampania norweska: Początek działań



Z plątaniny przejść wodnych między skałami, jednolicie groźnymi i niedostępnymi od strony morza-kontrtorpedowce wypływają na Ofotenfiord. Pochylone wąskie kadłuby wyprostowują się na niespokojnych wodach fiordu. Szerokie ujście języka morskiego zwęża się ku lądowi co raz trudniej przeciska się między skalistymi zboczami. Fiord szeroki i potężny w pobliżu morza maleje w obliczu gór, pokrytych czapką lodową, skręca się i zwija, zamiera w błotnistych i zimnych wybrzeżach bocznych fiordów: Sjovegen, Balengen, Bejsfiord, tysięcy innych drobnych zatoczek i cieśninek, których imiona znają chyba mewy i duchy Wikingów. Dziś są to jeszcze po prostu nazwy geograficzne bardzo szczegółowych map Europy podbiegunowej, jutro a jutrem jest niekończący się dzień majowy koła polarnego staną się one bliskie i drogie Armii Polskiej, oblane jej krwią i opromienione chwałą, jak inne pobojowiska stuletnich zwycięstw i klęsk od San Domingo po stację Klukwiennaja na wielkiej kolei syberyjskiej i od Hohenlinden po bitwę nad Niemnem i pod Gródkiem Jagiellońskim.

***

Wysoko, na tle wystrzępionych chmurek pojawiają się trzy sylwetki samolotów. Są to Heinkle:robią wrażenie czegoś całkiem niewinnego. Ci, którzy od czasu kampanii wrześniowej nie słyszeli przytłumionego warkotu motorów uspokajają nowicjuszy z Francji, zresztą całkiem spokojnych, uspokajają przekonywująco:napewno bombardowania nie będzie, o, w tej właśnie chwili zawracają i zaraz znikają z horyzontu. Klucz istotnie znika za górą. Zanim jednak zdołano ochłonąć z wrażenia—co nerwowsi zastanawiali się (mimo zapewnień autorytetów): rzucą nie rzucą — kontrtorpedowiec wybucha niespodziewanie jazgotem pom-pomów poczwórnych przeciwlotniczych karabinów maszynowych i daje pełną parę do tyłu. O jakie sto metrów przed dziobem wybucha salwa stukilówek. Kontrtorpedowiec nagle skręca w bok i zygzakiem płynie w poprzednim kierunku. Jeszcze dwie salwy, ale już daleko z tyłu, nawet pom-pomy nie strzelają, szkoda amunicji. Gołowąsy porucznik marynarki brytyjskiej spokojnie kończy papierosa; "No, na dzisiaj chyba koniec-mówi—od dwóch tygodni Jerries (przezwisko nadane Niemcom przez Anglików) są niezwykle systematyczni. O 6-ej rano rekonesans, o 10 ej bombardowanie poranne do 12-ej i pół, o 4-ej popołudniu bombardowanie wieczorne, po czym spokój do rana."

Kontrtorpedowiec wibruje równomiernie. Z tyłu pióropusz piany znaczy ślad na nieruchomej tafli wody. Fale rozchodzą się w równych odstępach od dziobu okrętu i kołyszą małe kutry norweskie wolniej i bliżej brzegów dowożące pozostałe części brygady, których nie zdołano już wtłoczyć na przepchane ludźmi i amunicją kontrtorpedowce. Jeszcze jeden zakręt, góry do połowy schowane we mgle są dziwnie groźne i ponure. Jak zresztą cała Norwegia: skały, śnieg, wystający z pod śniegu mech, kamienie i woda, bardzo dużo zimnej wody, zarówno słonej, jak słodkiej.

Pierwsza Pół-Brygada wyładowuje się na półwyspie Ankenes z małych kutrów norweskich, pykających jak fajki z motorowym napędem. Z pierwszego wzgórza pokrytego karłowatymi brzóskami widać już Narwik. Słychać strzelaninę. Bataliony Pół-Brygady luzują schodzące z linii ognia bataliony strzelców alpejskich i jednego z najlepszych pułków piechoty brytyjskiej. Po siedmiu miesiącach obozów koncentracyjnych Armia Polska nawiązuje przerwany na pół roku ogniowy kontakt z nieprzyjacielem.

***

Od samego rana bombardowanie. Heinkle i Junkersy latają nad półwyspem sypiąc dziesiątki bomb na stanowiska piechoty. Skutek żaden: materialnie paru rannych, moralnie żołnierze uczą się na własnej skórze, że w górach lotnik jest mniej niebezpieczny od mułów-sławnych brygadowych buryków, które mimo łagodnych pozorów gryzą i kopią.

Żebyż to na lotnikach kończyło się niebezpieczeństwo-na nich się zaczyna. Wszystko sprzysięgło się, żeby chrzest ogniowy Brygady był jak najcięższy: góry, przeważnie prostopadle dźwigające się ku górze, ośnieżone jeszcze i pokryte lodem, poprzecinane rwącymi potokami, niezamarzającymi nawet w podbiegunowej zimie. Na wydmuchach śnieżnych rudy, śliski mech jest cieżką przeszkodą nawet dla doświadczonych i nieobciążonych górali; żołnierze Brygady Podhalańskiej w przytłaczającej większości nigdy gór nie widzieli, są niedoświadczeni, ale za to bardzo obciążeni. Muły nie dojechały dotąd do Norwegii—optymiści twierdzą, że znajdują się w okolicach Islandii, a pesymiści są zdania, że w ogóle jeszcze nie wyjechały z Brestu i wobec tego cały sprzęt—amunicja, karabiny maszynowe, żywność—wolno posuwają się pod górę na cierpliwych grzbietach taterników najświeższego powołania. Wyprawy górskie specjalnie dobierają zapasy żywności. Trzeba uwzględnić elewacje, zmiany w ciśnieniu i sto innych danych. Francuska intendentura w Harsztacie rozwiązała to prosto: sardynki i czekolada plus suchary, wszystko inne jest albo niezdrowe albo rozpieszcza żołnierza, nawet we mgle, o 1,500 metrów nad poziomem morza. Zaradzono i temu, ale-jak mawiał Kipling—"to jest całkiem inna historia."



Góry były wrogiem nawet bez Niemców, którzy przecież tam siedzieli i to dość długo, żeby uczynić je jeszcze bardziej nieprzebytymi, jeszcze groźniejszymi. Starannie i oddawna przygotowane pola obstrzału, sieć ognia doskonałej broni maszynowej, posiadanej w nieograniczonych ilościach-wreszcie sam materiał ludzki. Naprzeciw siebie Brygada Podhalańska miała pułki tyrolskie, obznajmione z wojną górską, dowodzone przez oficerów i podoficerów Prusaków, dobrze żywione, sfanatyzowane ciągle nadchodzącymi wiadomościami o nieprzerwanej fali zwycięstw na froncie zachodnim, stale zasilane spadochroniarzami, p e w n e swoich zdawało by się niezdobytych, stanowisk.

Wreszcie ukształtowanie pola walki. Ankenes jest małym miasteczkiem, położonym na skalistym półwyspie, miejscami powyżej 1,000 m. wysokości, oddzielonym od półwyspu Narwiku, głęboko wcinającym się w ląd Bejsfiordem. Sam Narwik, dziesięciotysięczny port, leży na półwyspie podobnym do Ankenes tylko większym, oddzielonym od dalszych rozgałęzień Ofotenfiordu zatoką Rombaken. Od tyłu oba półwyspy są bronione potężnym łańcuchem górskim, dalej, o jakie 60 kilometrów granica szwedzka. Zaplecze Narwiku jest całkowitym bezdrożem, dziką gmatwaniną gór i lodowców, zdradziecką i niedostępną. Jedyna droga to kolej do granicy szwedzkiej, zniszczona wprawdzie przez artylerie brytyjskich destroyerów ale broniona przez niemieckie forty, zbudowane w licznych tunelach, do których nie sięga ogień okrętów. W takim właśnie terenie oddziały niemieckie, osłaniane przez łotnictwo siedzą już od sześciu tygodni-z jedynym zadaniem przygotowania terenu dla odparcia ataku aliantów. Teren ten, wspólnie z oddziałami francuskimi i norweskimi mają zdobywać bataliony Brygady.



Na najwyższym szczycie nad Narwikiem powiewa olbrzymi Hakenkreuz. W Bejsfiordzie siedzą olbrzymie hydroplany niemieckie, pewne siebie i rozczapierzone.

***

Natychmiast po wylądowaniu bataliony Brygady rozpoczynają rozpoznanie. Linie nieprzyjaciela od paru tygodni uchodziły za ustalone. Za tym kamieniem miał siedzieć r.k.m.— tam gniazdo moździerzy. Strzelcy alpejscy nie mając możności natarcia bez asekuracji własnego lotnictwa, ograniczali się do biernego rozpoznawania, nie zapędzając się głębiej w teren. Przybycie Brygady Podhalańskiej i innych oddziałów Pierwszej Dywizji Lekkiej było znakiem rozpoczęcia działań zaczepnych.

Zajęcie stanowisk odbyło się pod ogniem. 11 maja jeden z batalionów Brygady odbywa kilkudziesięciokilometrowy marsz w styczności z nieprzyjacielem. Jednocześnie baza wyładunkowa w Harsztad i port w Sjovegen, gdzie wyładowały się inne części Brygady miały po kilka nalotów nieprzyjacielskich dziennie. Przy tej okazji stwierdzono istnienie jeszcze jednego dobrze znanego z Polski wroga: -działalność dywersantów dawała się silnie we znaki. Wystarczało np.żeby pojawił się konwój aliancki w jakiejś ukrytej zatoczce, jak to miało miejsce w Sjovegen, gdzie wyładowywała się pod naszą osłoną pościgowa eskadra, żeby w kilka godzin poźniej pojawił się niemiecki bombowiec, bez żadnego poprzedniego rozpoznania i zbombardował, na szczęście bezskutecznie—w 99 wypadkach na 100—okręty i port. To samo dotyczyło składów, kuchni, a szczególnie kwater dowództw batalionów i półbrygad. Nie pomagało żadne maskowanie. Ludność miejscowa swobodnie cyrkulowała po miejscu działań wojennych, niekontrolowana i niemożliwa do skontrolowania dzięki prawie całkowitej nieobecności żandarmerii norweskiej i niemożności porozumiewania się z tubylcami. Załadowcy Brygady w Breście pomyśleli bowiem o 5.000 drewnianych sabotów, bardzo pożytecznego udogodnienia codziennego życia żołnierskiego w Bretanii, ale nie pomyśleli o chociaż by najbardziej prymitywnych samouczkach czy słowniczkach polsko- czy francusko-norweskich. Żołnierze wiedzieli wprawdzie, że jadą do Norwegii, ale ogólnie "ci więksi znawcy" sądzili, że leży ona koło Algieru.

Na drugi dzień po zluzowaniu oddziałów alianckich m.p. l-ej Pół-Brygady w Skole Haawik oraz cały odcinek Niemcy bombardowali przez cały dzień. W składzie jednego z Batalionów zginęło od odłamków dwóch podchorążych, i kreślarz Sztabu Półbrygady.

Od 15 maja starcia drobnych elementów Brygady z nieprzyjacielem wzmagają się na intensywności. Patrole nasze pracując bez przerwy, wykrywają punkty oporu nieprzyjacielskiego na półwyspie Ankenes. Żołnierze Brygady zapominają w tych, jak dotąd drobnych, utarczkach, że to jest teren górzysty, że oni gór nie znają, że są w znacznej części wreszcie świeżym i mało wyszkolonym rekrutem. Przypominają sobie natomiast cały szereg innych rzeczy-przypominają, jak bezszelestnie podpełznąć pod stanowiska nieprzyjacielskie, jak maskować się w terenie przed lotnikiem w ten sposób, że nawet własny dowódca nie potrafi odkryć najmniejszego śladu kompanii piechoty na nieporytym roślinnością płaskowzgórzu. Przypominają to wszystko, co drzemie w ich krwi-przypominają sobie stulecia wojen w Polsce i o Polskę.



Jeden z podchorążych, skończony zresztą krótkowidz a przed wojną przedstawiciel jednej z agencji prasowych "gdzieś w Europie Zachodniej" wybrał się np. samodzielnie z czterema granatami na zdobywanie gniazda moździerzy. Bardzo wprawdzie podrapał się, ale Niemcy wynieśli się na inne miejsce. Inny, malarz dla odmiany, dla dożywienia swoich żołnierzy zorganizował wzorową fermę mleczną ze zbłąkanych krów. Niemcy bombardowali to przedsiębiorstwo uporczywie przez dłuższy czas, ale jak zwykle bezskutecznie i drużyna karabinów maszynowych przez dłuższy czas odbywała mleczną kurację.

23 maja zwiad motocyklowy I-szej Pół-Brygady dokonał wypadu na Ankenes. Motocykle z łomotem wpadły do miasteczka aż do kościoła i zajęły szereg domków. Niemcy przygotowani na to zamknęli im drogę odwrotu silnym ogniem karabinów maszynowych i moździerzy. Można było wycofać się na piechotę, ale postrzelane motocykle trzeba by było zostawić-a to to samo, co zostawić rannego konia, jeżeli się jest kawalerzystą. W rezultacie strzelanina trwała przez 24 godziny, postrzelane motocykle wyciągnięto. Nasze straty: jeden śmiertelnie ranny niestety zostawiony w Ankenes. Zysk: stwierdzono większość stanowisk ogniowych nieprzyjaciela.

Wojna dzisiejsza w ogólności a kampania norweska w szczególności raz na zawsze położyła kres pojęciu tyłów i sztabów jako zacisznego kącika. Dzisiaj, w górach północnej Norwegii bezpieczniej bywało na placówkach, niemożliwych do odnalezienia z wysokości, niż w sztabach. Na kwatery i kancelarie sztabów mniejszych, średnich i większych polowano z obu stron z powietrza bez przerwy. Wyżsi oficerowie, szefowie sztabów, kapelani czy zgoła pułkownicy codziennie, po kilka razy dziennie bywali w ogniu. Pomijając jego nieskuteczność było to jednak bardzo irytujące. A przecież w "tych warunkach" trzeba było pracować, uzgadniać tysiączne i sprzeczne informacje, przygotowywać plany; i to w czterech językach naraz. I nie tylko to, ale ciagle trzeba było być w linii. W terenie górskim, gdzie działania batalionu rozproszkowywały się już nie na kompanie, ale na drużyny, żaden meldunek, żaden szkic sytuacyjny nie mógł zastąpić naocznej obserwacji i bezpośredniej decyzji.

Około 25 maja plany szczegółowych działań zaczepnych Brygady zostały ustalone.

Czesław Jeśman

Rysunki Józefa Natansona

Młodzież Polska za Oceanem

Już po raz drugi przed Polakami za granicą historia postawiła wielkie zadania. W ubiegłej wojnie, w walkach o Niepodległość najwyższym wyrazem ich pracy, pragnień i dążeń był udział w Armii Polskiej w Ameryce i Francji. Wtedy po raz pierwszy polska emigracja zarobkowa złożyła Polsce hojną daninę swej krwi. W ubiegłej również wojnie Polacy za Oceanem, kiedy ważyły się opinie polityczne świata, niemałą odegrali rolę w ich korzystnym kształtowaniu się dla sprawy polskiej.

Dzisiaj historia powtarza się w całym swoim okrucieństwie i tragiźmie. Padło Państwo Polskie, wojna krwawym swym skrzydłem zmiotła liczne, milionowe skupienia polskie rozsiane po całej Europie. Polacy za Oceanem stali się ponownie najsilniejszym oparciem dla sprawy polskiej w świecie. Wszyscy też, którzy znaleźliśmy się na wojennej emigracji, z pracą ich wiążemy wielkie nadzieje. Oczekujemy, że za Oceanem zagra "Złoty Róg" i, jak przed dwudziestu laty, Polonia Amerykańska—stanie do czynu.

Ale zdawać sobie musimy sprawę, że praca Polonii Amerykańskiej we wszystkich niemal krajach Ameryki Północnej, środkowej i Łacińskiej innymi musi się toczyć drogami, niż znanej już nam emigracji polskiej we Francji. Inaczej wygląda sprawa jej obywatelstwa, inne są warunki życia politycznego i gospodarczego, inna cywilizacja i inne, niż nasze nastawienie narodowe. Powiedzmy to sobie jasno i otwarcie. Polacy w Ameryce a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej innymi, niż my myślą dzisiaj kategoriami. Dla tych, którzy urodzili się na ziemi amerykańskiej, a nawet dla tych, co z Polski wyjechali kilkadziesiąt lat temu, z Polski niewolnej,—"Stary Kraj," kraj ich ojców i dziadów jest świętym wspomnieniem, do którego nawracają myślą i tęsknotą. Ale życie codzienne, warunki pracy, ich dobrobyt i życie polityczne związane jest z ziemią amerykańską. Językiem codziennym, językiem pracy i interesu, a w dużej większości i szkoły jest język angielski. Zjawiska te szczególnie mocno występują u pokoleń zrodzonych w Ameryce, a więc u młodzieży polsko-amerykańskiej.

Od stanowiska młodzieży polskiej w Ameryce, od jej patriotyzmu i chęci ofiary dla dalekiej Ojczyzny, zależy, jak dalej rozwinie się wkład Polonii Amerykańskiej do wojny i walk o Polskę. Role są tu wyraźnie podzielone. Starsze pokolenie polskie będzie nadal prowadziło zbiórki na cele narodowe. Jego troską jest pozycja sprawy polskiej w świecie amerykańskim. Od młodzieży chcemy i mamy prawo spodziewać się czynu.

Nie od nas zależą warunki, w jakich może on najlepiej się rozwinąć. Jak wspomnieliśmy życie Polaków w Ameryce w wysokim procencie włączone jest w maszynę pracy społeczeństwa amerykańskiego. Krótkie jednak rozpatrzenie się w życiu młodzieży polskiej za Oceanem da nam pogląd na sprawę.

Śmiało liczyć możemy, że w cztero i pół milionowej masie Polaków amerykańskich posiadamy co najmniej półtora miliona młodzieży i ludzi młodych. Jak wielka ich część zna język polski? To pytanie, które postawimy na wstępie. Wszędzie język stanowi największy łącznik z polskością. Według obliczeń, oczywiście niezbyt ścisłych, dokonanych przez czynniki polskie na tamtejszym terenie, około 50% młodzieży zna język polski. Część znajomość języka zawdzięcza domowi, reszta szkole polskiej i organizacji. Biorąc przekrój obecny około 300.000 polskich dzieci korzystało z systematycznej nauki języka w polskich szkołach parafialnych, w szkołach dokształcających, na kursach organizowanych przez organizacje polskie zarówno szkolne, jak i innego charakteru. Ta część młodego pokolenia polskiego w Ameryce bliższa jest polskości. Znane są jej polskie pisma, czyta polską literaturę. Ma możność brania żywszego udziału w polskim życiu organizacyjnym.

Drugim niezmiernie ważnym czynnikiem w kształtowaniu się oblicza polskiej młodzieży w Stanach Zjednoczonych jest atmosfera domu. W starszym pokoleniu jest ona z reguły polska. Starzy znają Polskę, wprawdzie dawną, a więc Polskę pod zaborami, nie mniej jednak bliska jest ona ich sercu. Kult dla Starego Kraju udziela się młodzieży, chociaż rozumuje już ona inaczej. Młodzież polska wyrabiała sobie własną pozycję w życiu Stanów. Dla niej Polska, nieznany kraj ojców, wraz ze swą kulturą i historią był legitymacją w różnorodnym społeczeństwie Stanów. I dlatego dla sporej ilości Polaków w Ameryce klęska Polski była podwójną tragedią, stracili bowiem swą pierwszą Ojczyznę, a zarazem przedmiot swej dumy narodowej i oparcie dla swego stanowiska w Stanach.

Obok dwóch wspomnianych czynników wielką rolę w kształtowaniu się oblicza polskiego za Oceanem odegrała bezpośrednia znajomość Polski. Nikły był procent tych młodych szczęśliwców, którzy widzieli Polskę przy pracy. Wielką rolę odegrały tu wycieczki do kraju organizowane przez organizacje polskie w USA, liczne kursy w Polsce na jakie Światowy Związek Polaków z Zagranicy sprowadzał młodzież polską z za Oceanu, kursy i wycieczki harcerskie i inne. Młodzież, która poznała Kraj rychło po powrocie wybijała sie na czoło i zajmowała stanowisko przodownicze w życiu społeczno-narodowym młodych.

Ostatnim wreszcie przejawem polskości młodzieży jest życie organizacyjne, szeroko rozbudowane na ogół. Istnieją organizacje młodzieży przy organizacjach starszego pokolenia, zapewniających sobie w ten sposób przyrost, jak np. organizacje typu harcerskiego przy Związku Narodowym Polskim, Zjednoczeniu Polskim Rzymsko-Katolickim, "Sokole" Macierzy Polskiej, i wielu innych. Istnieją organizacje o typie świetlicowym, jak "Wianki" Związku Polek, a dalej liczne organizacje dramatyczno-teatralne, wcale silne i czynne, kluby szkolne i akademickie, liczne zespoły śpiewacze, sportowe itp. We wszytkich tych organizacjach rolę przodowniczą odgrywa młodzież, która dzięki licznym stypendiom Światowego Związku Polaków z Zagranicy, akcji harcerstwa i innych organizacji krajowych miała możność nabycia wiedzy organizacyjnej w pokrewnych organizacjach w Polsce.

Obecne świadczenia młodzieży polskiej z USA na rzecz Polski nie są małe. Wymienić choćby można akcję żeńskiej organizacji polskiej w Chicago, Legionu Młodych Polek, która zjednoczyła 600 polskich dziewcząt. W ciągu krótkiego czasu zebrały one 15.000 dolarów na rzecz Polski. Dziewczęta polskie pracują w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu biorąc w ten sposób udział w akcji pomocy Polsce. Dla komitetów opieki nad młodzieżą na uchodźstwie młodzież polska z za Oceanu zebrała 4.000 dolarów. Młodzież prowadziła również dotychczas korespondencję z obozami wojskowymi, a byłe stypendystki Światowego Związku Polaków podjęły żywo akcję "Matek Chrzestnych," która niestety została zakazana przez francuskie władze wojskowe. Dalej zanotować należy akcję propagandy na rzecz Polski, udział w pracach komitetów Funduszu Ratunkowego, (zbiórka na cele Polski), organizowanie imprez zbiórkowych itp.

Ci, którzy mieli możność zetknięcia się z obecną pracą młodego pokolenia polskiego w Ameryce stwierdzają zgodnie, że klęska dodatnio podziałała na jej oblicze narodowe. Organizacje młodzieży notują, że liczba obecnych na doraźnych wiecach i zebraniach podniosła się blisko o 30 procent. Pewnie, że akcja propagandowa i ratunkowa nie wyczerpuje wszystkiego, ale podtrzymuje gotowość narodową i wierzyć należy, że kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, a warunki polityczne na to pozwolą, młode pokolenie polskie w Ameryce odpowie na hasła czynu patriotycznego. Polska ma prawo tego wymagać.

B. W.

CZARNA KSIĘGA

Oprócz obozów jeńców: "Oflagów" i Stalagów" znajdują się w Niemczech obozy karne, przeznaczone dla tych, którzy nie tylko mają zginąć (bo na to przeznaczone są wszystkie obozy), ale zginąć w najbardziej wymyślnych mękach. Taki obóz jest w Królewcu, w którym od października przebywa grupa ziemian z powiatu lipnowskiego, takim jest obóz w Dachau, w Oranienburgu, gdzie od jesieni przebywają profesorowie uniwersytetu poznańskiego, krakowskiego, szereg wybitnych księży i działaczy. Obóz ten jest położony nisko i podmaka wodą. Woda formalnie cieknie po ścianach. Na podłodze rozesłana jest zgniła słoma. Więźniowie śpią w tym barłogu. Jedzenie jakie dostają, jest okropne i niewystarczające. Z miasta nie wolno im niczego dosłać. W ogóle nie wolno komunikować się z więźniami, ani pisać do nich. Więźniowie są bici dla urągowiska. Każdego dnia, zebranym na dziedzińcu więźniom, władze każą śpiewać hymn: "Kto się w opiekę"—z zaczęciem się drugiej zwrotki, niby na hasło, spadają na grzbiety plagi. Czasem, w przystępie dobrego humoru, komendant fortu każe więźniom biegać na czworakach i ujadać jak psom. Kto nie chce, lub nie potrafi, musi wystąpić z szeregu, ciągle na czworakach i ujadać dopóty, dopóki jego głos nie zadowoli kata. Więźniowie są obowiązani do pracy. Praca polega na naładowaniu głazów na furę, przewiezieniu ich na drugi koniec fortu, wyładowaniu tamże—by na drugi dzień tę bezsensowną pracę rozpocząć na nowo. W tych warunkach przebywa szereg naszych uczonych.

—Raport z kraju.

ŚWIATOWY ZWIĄZEK POLAKÓW Z ZAGRANICY W ANGLII

Światowy Związek Polaków z Zagranicy, po przeniesieniu się do Anglii wznowił swą działalność w Londynie, nawiązując ponownie kontakty i współpracę ze skupieniami polskimi w Ameryce, Azji, Australii i innymi ośrodkami polskimi w świecie.

Na razie korespondencję dla Światowego Związku kierować należy na adres: **London W.1, 47 Portland Place, Polish Embassy.**

Reprodukowana tutaj mapa przedstawia kontynent europejski w jarzmie imperializmu niemieckiego. Umieszczone obok mapy objaśnienia wskazują dokładnie kolejność i rozmiar zaborów Fuehrera nazistowskiej Rzeszy. Widać z tych danych i z tego obrazowego przedstawienia diaboliczny plan owładnięcia Europy, przeprowadzany z żelazną konsekwencją, systematycznie, krok za krokiem. Widać też, że ten plan dał się przeprowadzić tylko dzięki temu, iż narody sąsiadujące z Niemcami nie dość dokładnie i nie dość wcześnie zdały sobie sprawę z grożącego im wspólnie niebezpieczeństwa.

Obraz Europy Hitlerowskiej, Europy z lata 1940 jest ponury, bo czarny kolor zaciągnięty pomiędzy granice jeszcze wczoraj wolnych narodów oznacza najczarniejszy ucisk. Ten obraz musimy mieć przed oczyma, bo on obejmuje, zakrywa żałobą i nasz kraj ojczysty. Musimy go mieć przed oczyma, bo stanowi on zaprzeczenie sensu życia każdego wolnego człowieka, sensu życia każdego z nas. Nie wolno nam cofać się przed tą prawdą.

Przecież grzeszyłby małodusznością ktoś, kto by się uginał pod ciężarem tej prawdy, kto by od chwilowej przewagi czerni na mapie kontynentu europejskiego popadał w czarnowidztwo. Nasza wyobraźnia musi ten obraz nazistowskiej Europy zrównoważyć czterema czynnikami:

1/ wszystkie kraje podbite minują zdobycze niemieckie nieprzejednaną nienawiścią, wszystkie one wiążą ogromne siły najeźdźcy, który musi pilnować bez ustanku swego łupu;

2/naprzeciw kontynentu stoi zbrojna i niezłomna twierdza angielska, a za nią Wielkie Imperium Brytyjskie obejmujace ¼ część powierzchni globu ziemskiego, ¼ część jego ludności;

3/ za Wielką Brytanią rozciąga się olbrzymie zaplecze, zbiornik energii wojennej—kontynent amerykański;

4/ na tyłach trwa zaczajony wspólnik i rywal Hitlera—Rosja Stalinowska.

Te wszystkie czynniki i wola walki, którą podtrzymujemy razem z Wielką Brytanią każą nam wierzyć, każą mieć pewność, że dni czarnego "imperium" Hitlera zbudowanego na zdradzie, kłamstwie, podstępie, krwi i krzywdzie—są policzone.

tt



1—AUSTRIA
12 marca, 1938
Zaludnienie: 6,500,000
Obszar: 83.850 km^2.

2—SUDETY
1 października, 1938
Zaludnienie: 3,500,000
Obszar: 27.195 km^2.

3—CZECHOSŁOWACJA
14 marca, 1939
Zaludnienie: 9,500,000
Obszar: 140.500 km^2.

4—KŁAJPEDA
22 marca, 1939
Zaludnienie: 150,000

5—POLSKA
Wrzesień, 1939
Zaludnienie terenu okupowanego przez Niemcy: 22,000,000
Obszar tego terenu: 190.365 km^2.

6—DANIA
9 kwietnia, 1940
Zaludnienie: 3,750,000
Obszar: 43.000 km^2.

7—NORWEGIA
2 maja, 1940
Zaludnienie: 2,700,000
Obszar: 323.800 km^2.

8—LUXEMBURG
10 maja, 1940
Zaludnienie: 300,000
Obszar: 2.600 km^2.

9—HOLANDIA
15 maja, 1940
Zaludnienie: 8,700,000
Obszar: 34.186 km^2.

10—BELGIA
28 maja, 1940
Zaludnienie: 8,400,000
Obszar: 30,500 km^2.

11—FRANCJA
17 czerwca, 1940
(prośba o zawieszenie broni)
Zaludnienie: 41,950,000
Obszar: 550.986 km^2.

ONI I MY

Wędruję na Beaumont Str., aby odszukać pewnego znajomego, wpadam na redaktora—"Polski Walczącej" i stos świeżutkich, pachnących jeszcze farbą, zeszytów pisma. Pojęcia nie miałam, że jest w Londynie, że siedzi już w maciupasieńkiej redakcji, że już łamie numer. Czary nie czary?

Ucieszyliśmy się sobą na wzajem. Kiedyż to ostatni raz, w gronie niefrasobliwych kolegów, przy pół czarnej, zgadywaliśmy: wojna czy strachy na Lachy? Jechać w świat na wywczasy, czy nie opuszczać rodzinnych pieleszy? Było to akurat przed rokiem, w Warszawie, na Nowym Świecie, w Café Club. Tamci, najmilsi, pozostali prawie wszyscy—w domu. Wyciągnęli zaszczytniejszy od nas, los.

Redaktor rozkazuje, (mundur, to nie żarty!) aby raz, dwa artykuł był gotowy na jutro. Godzę się również. Takie to wszystko oszałamiające na bruku londyńskim.

Chodzę obecnie po tym mieście-kolosie, tak nagle odmienionym (dla mnie) w ostatnich tygodniach, i co dnia się wzruszam. Londyn—nie Londyn? Dawniej, nas, osamotnionych policzyć można było na palcach; drukowanego słowa po polsku, jeżeli nie przysłano z Francji, nie oglądało się na żywe oczy ani się nie wymieniało pozdrowień w ojczystej mowie. Dziś tu się spotkało przyjaciół z Warszawy, tam sąsiadów z tej samej, mokotowskiej kamienicy (szczęśliwie ocalała!—). Miejscowa poczta przynosi listy od kolegów, braci, od kuzynków. Wita się wszystkich, czyni się honory domu. Ma się za sobą długą drogę, niejedno doświadczenie, doznane na własnej skórze. Trochę ta skóra jest już wygarbowana. . . Wybujałe sobiepaństwo ujęte w karby dyscypliny.

A wy, najmilsi, jesteście tacy sami, tacy samiusieńcy, jak my z przed kilku miesięcy! Trochę niezadowoleni, trochę oszołomieni. Dźwigacie wszędzie za sobą pękaty słownik pod pachą, gdyż mimo wszystko, mimo iż na wyspę Albionu zjechały się niemal wszystkie ludy Europy, i tak nikt tu nie rozumie ani słowa obcego narzecza. I tak samo, jak nam, niebardzo się wam, tu, na razie, podoba. Miasto jest jakby bez wyrazu, potrawy—niekoniecznie. Wszystko, wszystko jest inne, bo nie takie, jak u nas. A skąd ma być takie same, czy bodaj podobne? Wyrażacie głośno zdziwienie, krytykujecie.

Teraz ja z kolei, (aż się dziwię sobie) chciałabym was ostrzec i . . . poprosić, abyście za łeb wzięli (na czas tej gościny) naszego opornego ducha. Mnie się dał we znaki. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy na ślepo zaczęli przyswajać sobie wszystkie bez wyjątku znamienne cechy charakteru anglosaskiego. Albo zacząć gonić za urządzeniami życia tutejszego. Przesada.

I tak nie wyrobimy w sobie sztucznej flegmy czy rezerwy bycia, my—żywi, bardziej romantyczni, niepoprawni entuzjaści. Ale, może się cokolwiek nauczymy, jak stąpać po ziemi i oceniać zjawiska bardziej praktycznie. Anglik każdą sprawę rozpatruje pod kątem przysłowia: —*a living dog is better, that a dead lion.* To znaczy: "żywy piesek lepszy jest od zdechłego lwa." My często widzimy rzeczy inaczej i gorzej na tym wychodzimy. Zdrowym instynktem wyłuskajmy ze współżycia z tubylcami, co mądrzejsze i trafniej pomyślane urządzenia czy obyczaje, które bardzo nam się przydadzą w przyszłości.

***

Gospodarze będą nas trochę denerwowali (wyobraźmy sobie jak my ich!), że tak powoli myślą (kapują), gdy my chwytamy wszystko w lot; że się tak wolno poruszają, gdy my chcemy wyrwać w sto koni (i często mamy bigos i bałaganiarstwo!); że niczego prócz własnego podwórza nie są ciekawi, cierpiąc na chroniczny brak wyobraźni. Dla nich, od wieków zasklepionych w swych wyspiarskich tradycjach i obyczajach, cóż to za ambaras mieć nagle u siebie,—w domu—istną wieżę Babel! Cóż to za przykrość, rezygnować nagle w imię dobra gości z wielu przyzwyczajeń.

A gdy tak się zastanowimy, na jaki gest, ofiarność i gościnność zdobywa się nagle ten okrzyczany za samoluba, John Bull—polubimy go całym sercem. I on nas polubi napewno, jeżeli odrzucimy precz, jako zbyteczny balast, wszelką bufonadę i będziemy skromni. Nie każdy z nas przecie na dzisiejszym, uciekinierskim chlebie,—był tam w domu, zaraz dyrektorem jakiejś ważnej firmy, właścicielem dóbr ziemskich, czy mistrzem sztuki bokserskiej. Nawet, gdy się okaże wreszcie, że tak było, czy coś w tym rodzaju, — napewno skromność nasza zostanie sowicie wynagrodzona.

Anglik pasjami lubi opiekować się słabszym. Jeżeli da się mu do zrozumienia, że rady jego się ceni i chętnie korzysta z jego szczerej pomocy, przyjaźń jest kupiona na amen. Nie przeszkodzi to bynajmniej, że wykpiwać was będzie na funty za "kontynentalne nieobyczaje." Ale my się uśmiechajmy dobrodusznie. Niech tam tak myśli!!

***

Na razie zanim się tu człek z "barbarzyńskiego kraju" trochę oswoi wszystko mu się wyda co najmniej — dziwolągiem. Że zacznę od najbłahszych spraw:

Drzwi będą stały jak mur przed nosem, i nie otworzą się, póki się klamki nie naciśnie w zgoła odwrotnym kierunku. Okna podważane jak w pociągu, sprawiają sporo kłopotu, zwłaszcza, że linki dawno zardzewiały i nie funkcjonują sprawnie. Uderzy nas momentalnie ruch pojazdów na ulicy: jest on lewo-kierunkowy, w przeciwieństwie do wszystkich innych miast w Europie. W pierwszych dniach pobytu w City, stale ma się wrażenie, że szyki się popsują i katastrofa wisi w powietrzu. Nic podobnego, magik-policemen czuwa. Wszyscy motorniczy czy szoferzy wiedzą na pamięć co mogą czynić. Wszyscy przestrzegają porządku. W tym właśnie tkwi tajemnica bezpieczeństwa.

***

Piętrowe bestie autobusowe, żeby nie wiem jak wypełnione publicznością są nad podziw zwrotne i szybkie. Suną po kilka w jednym rzędzie, przystają byle gdzie, często za przystankiem, jeżeli motorniczego w białym kitlu poniesie nieco kawalerska fantazja.

Konduktor (czytaj—"kondaktor") gwiżdże na cały autobus zda się nonszalancko, gdy wydaje ci reszty za bilet. Zauważyłam, że właśnie taki wesołek, jest prawdziwym gentlemanem: doskonale pamięta, gdzie masz zamiar wysiąść i jeżeli jesteś damą, niekoniecznie nawet siwowłosą sprowadzi cię ze stopni wozu. Nie przestanie gwizdać.

Ale z reguły zna tylko nazwy ulic, gdzie umieszczony jest przystanek, mijanych, "pustych"—nigdy! Nie mają również pojęcia (gdy się ich pyta)—gdzie się zaczyna numeracja mijanych przecznic. Nie ma tak dobrze, jak w Warszawie, gdzie wszystkie ulice rozpoczynały swój bieg od strony Wisły. W Londynie panuje pod tym względem fantastyczna dowolność. Święty by się nie połapał! Cóż dopiero "kondaktor"!

O *Bobby* (policjancie) angielskim słyszymy na kontynencie same pochwały. Musi być jak dąb; wysoki i niewzruszony. Taki też zazwyczaj jest. Zawsze przypominam krótkie określenie jakiegoś pisarza cudzoziemskiego, gdy go spytano o policjanta w Anglii.

—Stoi spokojnie jak dom i moknie! Ani drgnie. Z dachu domu ściekają strumienie wody, z jego kasku i gumowej pelerynki, również.

Czy zauważyliście już, jak tu wszyscy dziękują sobie za wszystko od rana do nocy? Jeszcze na dworcu czy przystani—tragarz posuwając wózek z kuferkami, będzie krzyczał na cały głos: "thank" dziękując, że ustąpicie mu z drogi. Służąca wypłoszy was tym samym słówkiem z pokoju hotelowego, bo chce go sprzątnąć. Sprzedawczyni, gdy nawet nic nie kupiwszy, przerzucicie stos krawatów. *Thank! Thank you! Thank you very much!* Słyszy się wokół siebie. Trudno,—"jak się wlazło między . . . trzeba krakać jak one"! Mówmy więc i my to króciutkie słówko wszystkim, nawet gdy kołacze się o posady i ma wciąż figę albo gdy "*Bobby*" poszle nas w przeciwnym kierunku, niż dążymy; albo gdy mamy wilczy apetyt, a dadzą nam w Lyons do zjedzenia coś takiego, że trudno przełknąć. *Thank you!*

Prawda jak nieciekawie wygląda ulica w Londynie? zwłaszcza w śródmieściu? Sędziwe to miasto, ma swoje wspaniałe "rodzynki," swój majestat i zadumę wieków, ale nie od razu przejrzy to cudzoziemiec. *Streets, streets* i jescze raz *streets* londyńskie—są to po prostu ulice. Idzie się po nich śpiesznie z jednego końca miasta do drugiego i już! Nic ponadto. Są bez wyrazu. Spróbójmy odcyfrować z "pocker-faces" przechodniów, w jakim są stanie ducha czy bodaj humoru? Biegną, śpieszą się milczą.

U nas, na ulicach ludzie głośno się śmieją, kłócą, przekomarzają. Z a ł a t w i a j ą interesa handlowe. Wysuwają pomysły polityczne, Boże Wielki! oświadczają się, zwierzają. Kobiety (ze łzami goryczy) opowiadają przyjaciółkom o niecnej zdradzie męża. Mężczyźni —wzamian sobie sekrety miłosne. Młodzież — sukcesy sportowe, i t.d. Ulica w Polsce (we wszystkich miastach kontynentu)—żyje! O każdej porze dnia czy roku ma swój inny klimat, zabarwienie, smak.

Tu ulice—są tylko ulicami do odmierzania przestrzeni. Anglicy załatwiają swe interesa handlowe w offices i bankach, sprawy rodzinne nie wychodzą poza mury *home*—domu-fortecy. Ale okazało się (ku naszemu zdumieniu)—że . . . kochają się w parkach. I tu—o ileż my bardziej jesteśmy wstydliwi i dyskretniejsi w ujawnianiu swych sentymentów. W zielonych laskach miejskich, w takim Hyde-Park, albo Kensington-Park, na szmaragdowych trawnikach—zakochane parki tulą się do siebie, całują pieszczą—bynajmniej nie pesząc się przechodniów. Nic im to nie przeszkadza. Zdumiewające, że i bobby przechadzający się w pobliżu w swym groźnym kasku nie przeszkadza im również. Mybyśmy powiedzieli, że to jest *shocking.*

***

Ale niech no uczciwy Polak, skromnie, z wrodzonym szacunkiem pocałuje rodaczkę w rękę, na ulicy, w cukierni, czy w *underground* (kolejka podziemna)—jest to niemal sensacja!

Przed tygodniem o mały włos nie zdarzyła się katastrofa z tego niewinnego zdarzenia. Wsiadałam do autobusu, na Oxford-street, na przeciw tego spryciarskiego Woolworth, co to po 3 pennies ("wszystko za 3 pennies"), niby nic, wyciąga z kieszeni łatwowiernych cudzoziemców, całe fortuny! Spotykam kolegę redakcyjnego z Warszawy. Bucha mnie, jak się patrzy w łapę na oczach całej kolejki do autobusu. Przeczekawszy ją, żegnamy się, całuje oczywiście po raz wtóry. Później, kiedy już jestem na stopniach—raz jeszcze. Robi się zamieszanie: jakiś młodzian nie polazł na górkę, stanął w przejściu; jakaś lady, czegoś się obraziła i wylazła natychmiast z wozu. Konduktor zamarł z ręką wyciągniętą do dzwonka. Wóz nie ruszył; druga dwupiętrowa bestia siedziała nam już na karku, a trzecia wymijała nas z nienacka bliziutko.

Później siedziałam w autobusie, jak trusia, czując uważne i figlarne spojrzenia pasażerów. Wreszcie sąsiadka moja nie wytrzymała i zagadała, co zdarza się rzadko. Uspokoiwszy ciekawość, że jestem cudzoziemka—dodała z serdecznym uśmiechem: *Lucky, that your husband is with you!* ("Szczęśliwa, że mąż pani jest z nią razem.") Zdumiałam się! Bogu ducha winnego kolegę,—wzięła za małżonka.

W imię moralności, aby nas, Polki, nie posądzano o poligamię,—przestańcie, panowie, całować nas po rękach, na tych wszystkich Oxford Circus, Piccadilly-Circus, itd., itd. Ale. . . .

***

Ale było by bardzo nijako, bardzo smutnawo, gdybyście zaniechali zwyczaju naszych ojców wówczas, gdy znajdziemy się w Londynie w jakiejś polskiej oazie, wśród swoich. Nieprawdaż?

Hanna Skarbek Peretiatkowicz

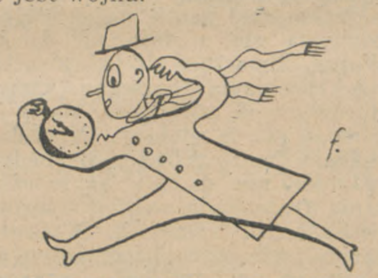
ABC angielsko-polskie



A— pierwsza litera alfabetu. . . O tym wie każdy. Uprzytomnijmy sobie od razu, że w języku angielskim dźwięk oznaczany tą literą brzmi jak polskie: "ej". Chociaż w londyńskim dialekcie (cockney) wymawiają: "aj". . . W poszczególnych wyrazach — jeszcze inaczej. Wniosek pierwszy: uważajmy na wymowę i uczmy się dobrze wymawiać każdy wyraz, a unikniemy niejednej przykrości czy nieporozumienia. Wniosek drugi: jeżeli nie uczyliście się na pamięć alfabetu żadnego języka (nawet polskiego . . .), to nie mniej nauczcie się właściwej wymowy dźwięków angielskich.



Ale—Czytamy ten wyraz na angielskich szyldach i pytamy sami siebie: Co "ale"?—W tym wypadku nie idzie ani a gramatykę, ani o stylistykę, ale o "a l e" (wymawiaj: ejl), jasne piwo. Piwo może być "mild" (łagodne słabe) i "bitter" (gorzkie, mocniejsze). "Stout" to piwo bardzo ciemne i bardzo mocne. "Porter" znamy z Polski. "Half and half" to mięszanina dwu gatunków trunków, pół na pół. Wspomnijmy jeszcze, że przy bufecie w piwiarni płaci się zaraz po dostaniu zamówionego napoju, po czym można zabrać szklanki do stolika (jeśli się taki na sali znajdzie . . .) — bez dopłaty. Piwo—to najbardziej rozpowszechniony, obok herbaty, napój w Anglii. Piwiarnię łatwo poznać z daleka po malowanych kafelkach. Kto umie czytać nie tylko te słowa, ale (w tym sensie: polskie "ale"!) i drukowane litery na szyldach, tego zdziwią różne nazwy piwiarń: ale-house, beerhouse, public bar, public-house. Tego ostatniego wyrazu nie należy tłumaczyć na polski-dosłownie. . . Jest to istotnie tylko piwiarnia, a raczej lokal, posiadający koncesję na alkohole, w przeciwieństwie do szeregu piwiarń, w których można dostać tylko piwo. Ciekawe, że w niektórych nawet eleganckich restauracjach nie mają koncesji na wyszynk, lecz wolno klijentowi posłać kelnera po butelkę piwa do sąsiedniego baru. Dodajmy jeszcze, że do niektórych piwiarń wiodą dwa wejścia: jedno, opatrzone napisem "Saloon-Bar," lub "Private-Bar" prowadzi do sali, w której te same trunki są sprzedawane drożej, niż w salach o nazwach wyżej wymienionych. Po godzinie dziesiątej wieczór wspomniane wejścia służą jedynie za wyjście. . . . Nie zapominajmy, że jest wojna.



Alien—Bardzo ważne słówko! Znaczy: cudzoziemiec. Jesteśmy na gościnnej ziemi angielskiej "aliens" (t.zn.; cudzoziemcy), i nie powinniśmy tego ani na chwilę zapominać. Obserwujmy nasze angielskie otoczenie, i wzorujmy się na nim. Prawda, że jesteśmy również i "ally" (t. zn.:aliant) "allies" (alianci). W liczbie mnogiej pisownia tych dwu wyrazów jest podobna, wymowa, jest różna. Operujmy nimi ostrożnie, bo "alienist" to —"psychiatra" z całym arsenałem pokrewnych wyrazów. . . To nie znaczy, że dla pewności winniśmy wyraz "cudzoziemiec" tłumaczyć na "foreigner," ten ostatni bowiem wyraz posiada niekiedy pewien specjalny, obraźliwy sens. Choć z drugiej strony "Foreign Office" (czytaj: forejn ofys)—to angielski M.S.Z.—Nie zapominajmy, że cudzoziemcom nie wolno być poza domem w Londynie po godzinie dwunastej w nocy, zaś na prowincji wcześniej (stosownie do lokalnych rozporządzeń). Cudzoziemiec winien meldować na policji (Police-Station) natychmiastowo każdą zmianę adresu, oraz prosić o pozwolenie udania się w podróż do miejscowości odległej ponad 5 mil ang. od miejsca zamieszkania.



Bus—wymawia się: "bas," to "instrument" grający pierwsze skrzypce w orkiestrze komunikacji londyńskiej. "Basy" czyli autobusy czynne są całą noc, w odróżnieniu od tramwajów i kolei podziemnej. Wysokość opłaty za przejazd zależy od odległości. "Bus stop" (napis na przystanku) oznacza przystanek stały, obowiązkowy. "Request"—to przystanek warunkowy; trzeba dać znak ręką dla zatrzymania wozu; zadzwonić przed wysiadaniem; czyni to zresztą za nas bardzo uważny konduktor. Autobusy są piętrowe; palić wolno tylko na górze. W autobusie londyńskim bardzo łatwo poznać Polaka: "mówi tak głośno, jak gdyby był na scenie lub krzyczał do głuchego w swym własnym domu"—tak oceniają siłę polskich organów mowy Anglicy, rozmawiający zawsze szeptem, choć są u siebie. Najpiękniejsza, najelegantsza Polka jest wobec angielskich dżentelmenów skompromitowana raz na zawsze, jeśli nie mówi po cichu! Autobusy angielskie są komfortowe i kursują często, licznymi szlakami; celem jednak utrudnienia działalności "piątej kolumny" wycofano z obiegu mapy. Na zakończenie tego ustępu o "bus'ach" podajmy jedną daną statystyczną: w roku 1932 sprzedano Londynie I,960,000—blisko dwa miliardy!—"ticket'ów" (biletów) autobusowych, nie licząc tramwajowych, ani kolei podziemnej.



Greenwich Observatory.—Obserwatorium Astronomiczne w Parku Greenwich w Londynie, wybudowane na rozkaz Karola Drugiego, związane jest z naszymi odległymi wspomnieniami nauki geografii w pierwszych klasach gimnazjalnych. Gmach ten wzniesiono w miejscu, przez które przechodzi zerowy południk, służący do obliczeń długości geograficznych oraz czasu w astronomii, stosownie do decyzji międzynarodowej konferencji w Waszyngtonie w roku 1884ym. Dokładna godzina nadawana była stąd co dzień automatycznie aparatem elektrycznym, stanowiła jeden ze znaków współpracy uczonych wszystkich krajów, wszystkich narodów, współpracy na drodze postępu i cywilizacji. Miejmy nadzieję, że już niedługo nastąpi dzień, w którym po zduszeniu obłędnego barbarzyństwa uczeni będą mogli z powrotem zamienić karabin na pióro czy cyrkieł.

Zygmunt Frenkiel

Fotografujemy obozy

W pociągu zapomina się o nerwowym rytmie wielkomiejskiego Londynu, ostatnia gazeta tkwi w kieszeni jak niepotrzebne przypomnienie pośpiechu i gwaru stolicy. Rytm miasta zmienia się w rytm pociągu, powolny, miarowy, odmienny. Jedziemy do polskich obozów-prawie tak, jakbyśmy jechali do Polski-z obcego, choć przyjaznego świata, w którym polskiego słowa nie słyszało się czasem przez długie tygodnie. Przez ostatnie parę dni zaroiło się tu od rodaków-przyjechali z rozbitej Francji-na niektórych ulicach widzi się ich całe grupki. Trochę bezradni, niepewni na nowym gruncie, niezorganizowani—po prostu cywile.

Toteż, gdy parę godzin za Londynem niesie nas auto przez gołe wzgórza angielskie, pytamy się z niepokojem, jak też spojrzy na nas polski żołnierz, w tym nowym, niespodziewanym dla Polaka kraju. Mówili nam w Londynie to i owo ludzie zastrachani, ale jakże się mylą, bo oto już pierwszy znak-idą szosą nasi, brzmi obca dolina polską piosenką, asfalt huczy pod miarowym krokiem żołnierzy. Patrzymy na nich ze zdziwieniem serdecznym-parę dni temu lądowali po długiej, złej drodze, po upadku ukochanej Francji, skąd w nich już tyle swobody i pogody w spojrzeniu, skąd ta harda mina i zuchwałość.

Za chwilę się wszystko odmienia w sposób czarodziejski, po prostu jesteśmy w Polsce. Stoją namioty nad rzeką a nasi chłopcy patrzą z ciekawością na aparaty i skrzynki, słowa pachnące Lwowem i Warszawą padają z tym samym humorem i beztroską, jakbyśmy po staremu pracowali, filmując fabrykę w COP'ie czy wioskę góralską. Dziwimy się bardzo, bo nie potrzeba zachęty muskuły prężą się same, w oczach zaciętość, w ruchach pewność-to właśnie, co chcemy mieć na zdjęciu czy w filmie. Chcemy pokazać Anglikom tych ludzi, którzy wbrew zdradom wielorakim nie ugięli się i kpią sobie z wroga. Należących do narodu, w którym nie było Quislingów ani Leopoldów. Nie było ich też wśród Anglików, dobrześmy się dobrali. Ale najdziwniejsze dla nas to, że jesteśmy w Polsce. Obiad z kotła smakuje kapuśniakiem, polska kuchnia, której w Londynie za grube funty nie dostanie. Szkocka lodziara już umie liczyć po naszemu a panienki w całej okolicy zamiast uczyć naszych chłopców angielskiego-same już gadają co trzeba po polsku a wieczorem przy szosie chłopaki z Warszawy i Poznania prowadzą pod ręce po dwie panny każdy co najmniej.

Więc też kiedyśmy już wszystkie oficjalne okazje sfotografowali i nacieszyli się prężnym krokiem defilady i wspaniałą postawą żołnierzy Maczka i tych z Narwiku-prosimy, aby nam jeszcze pozwolili zostać dzień jeden nieoficjalnie. Wtedy idziemy między namioty, gadamy z ludźmi, zdejmujemy chłopców, jak myją się w rzece, jak jedzą, i dowcipkują, jak śpią utrudzeni na trawie. Zaglądamy do namiotów, pokrzepia nas humor i zawadiacka postawa. Ci ludzie bili się i zwyciężali i choć znowu dalej od Polski-bliżej są jej dzisiaj, niż przedtem, bo nową kartę swą nieugiętą wolą zapisali.

My się rozczulamy-bo sami Polacy, ale Anglicy, co z nami jadą, zupełnie zbaranieli. Widzą żołnierza o wielkiej fantazji, zawziętości i humorze wspaniałym. Słuchają opowiadań o walce we Francji czy w Polsce, jak bajek. Rozumieją, że dla tych ludzi Niemiec nie taki straszny, jak go malują i, sami zacięci, spokojni i zdeterminowani, gotowi na każdą walkę, widzą, że mają w Polakach sprzymierzeńców wiernych do ostatka, którzy wraz z nimi będą święcić ostateczne zwycięstwo.

Eugeniusz Cękalski

CZYTAJCIE
"POLSKĘ WALCZĄCĄ"

Przegląd polityczny

Były w kraju, przed wojną, duże nawet ugrupowania społeczne, łączące ogromne nadzieje z faszystowską Italią. Jakakolwiek, nawet najbardziej rzeczowa krytyka stosunków włoskich-wywołała z miejsca ostre sprzeciwy i posądzenia wprost o zdradę narodową. Przyjmowano program społeczny Mussoliniego, przyjmowano nawet urzędowo obowiązujący we Włoszech sposób pozdrawiania się. Sądzono, że dwa narody, polski i włoski, zbliży do siebie "wspólność ideologii." W miesiącach, poprzedzających wojnę—niezwykle napastliwy ton prasy włoskiej w stosunku do Polski był pierwszym tuszem lodowato zimnej wody na zbyt faszyzmem rozpalone głowy.

A w dniu 15 czerwca 1940, na łamach "Giornale d'Italia" pisał osławiony Virginio Gayda: "*Odnieśliśmy pierwsze, wielkie zwycięstwo. . . Jest nim całkowita wspólność ideologii włosko-niemieckiej, która umożliwi nie tylko utrzymanie dotychczasowych zdobyczy, ale także zapewni nowe sukcesy.* ."

Przyznajemy się szczerze, że mając wyrobione zdanie w stosunku do tej "ideologii"—zachowywaliśmy jednak do ostatniej chwili nadzieję, że silniejszym od tych wspólnych przesłanek ustrojowych—okaże się wzgląd na prawdziwy interes narodowy i państwowy Włoch. Pisaliśmy, że "*Włochy sprzymierzone z Niemcami, czeka klęska, zarówno w razie zwycięstwa jak i katastrofy Niemiec. W razie zwycięstwa-Włochy staną się wasalem Niemiec. W razie przegranej -zapłacą, podobnie jak Austria po roku* 1918, *wszystkie koszty wojny.*" Byli ludzie, nawet w partii faszystowskiej — przykładem chociażby Balbo—którzy wyrażali podobne przekonania. Spotkała ich jednak-katastrofa samolotowa. A wasalizacja Włoch odbywa się w tempie przyśpieszonym. O Führerze mówi się już "*Il Duce del Duce.*" Mussolini, którego rola w dziejach kultury łacińskiej mogłaby stać się wprost ogromną -przegrywa za życia swą wielkość.

Podobnie jak nadzieje włoskie, zawodzą również wszelkie kombinacje, co prawda o wiele słabsze, jakie łączono z Japonią. W Tokio przyszedł do władzy rząd, bardzo agresywny i pozostający pod silnym wpływem Berlina. Wysunięto nowy slogan -mianowicie granice uprawy ryżu i "przestrzeni życiowej" nie na północnym zachodzie, to jest w Mandżurii, ale na południu, czyli w kierunku Wysp Sundajskich oraz Indochin. W Japonii zaczęły się mnożyć prześladowania obywateli angielskich, wtrącania do więzień kierowników brytyjskich przedsiębiorstw handlowych i td. Jednocześnie koło posiadłości brytyjskiej wyspy Hong-Kong — zaobserwowano podejrzane manewry japońskiej floty wojennej i nawet próby gromadnych nalotów spadochroniarzy. Rząd angielski zareagował na te wszystkie prowokacje w sposób zdecydowany i ostry. Na aresztowania obywateli angielskich w Japonii-odpowiedziano aresztowaniem przedsiębiorców japońskich w Londynie, w Hong-Kong i Singapure. Z Hong-Kongu wysłano kobiety i dzieci do Australii, a wyspę, zresztą dobrze ufortyfikowaną, zaczęto przygotowywać do obrony.

I kto wie, czy tego rodzaju energiczna akcja nie jest najlepszym środkiem na ostudzenie zapału hitlerowców japońskich. Ewentualne zdobycze nie przyjdą tak łatwo -a sytuacja i wewnętrzna i zagraniczna Państwa Wschodzącego Słońca nie przedstawia się wcale w różowych kolorach. Japonia uwikłała się w wojnę z Chinami. Miała to być kampania błyskawiczna, najwyżej kilkutygodniowa i przynieść decydujące sukcesy w postaci zdobycia całych Chin. Tymczasem jeszcze raz okazała się kruchość wszystkich teoretycznych założeń w stosunku do Dalekiego Wschodu w ogóle, a Chin w szczególności. Wejść do Chin było łatwo—a natomiast coraz trudniej jest się tam poruszać. *Uderzenie japońskie, przyrównywane nawet u nas, do "błyskawicznego cięcia szablą Samuraja" -można porównać do uderzenia w ogromny gar z klejem.* Rozwalono glinianą pokrywę, wsadzono głęboko rękę —ale wydobyć ją nie łatwo. Wojna wlecze się ze szczęściem zmiennym o tyle, że szanse wygranej przechylają się co raz bardziej na stronę chińską. A położenie wewnętrzne w Japonii, mimo dyktatury, mimo "dynamizmu" wszechmocnej partii wojskowej—pogarsza się z dnia na dzień. Wojna, ślimacząca się już czwarty rok, pochłania ogromne sumy. Surowców a zwłaszcza nafty—brak co raz to większy. Niezadowolenie mas wzrasta—i nędzy ludności nie da się zakrzyczeć tanią frazeologią według wzorów berlińskich i rzymskich. Możliwe, że w tych warunkach jedynym wyjściem z fatalnej sytuacji byłaby dla dyktatury wojskowej tylko wojna—ale z drugiej strony kto wie, czy jej wybuch nie przyspieszyłby katastrofy. *Atak Japonii na Anglię-musiałby pociągnąć za sobą wystąpienie Stanów Zjednoczonych.* Wówczas sytuacja państwa Mikada przedstawiałaby się bardzo nie wesoło.

Do uwikłania Japonii w wojnę z Anglią -prą oczywiście Niemcy. Chodzi o odciągnięcie sił brytyjskich od głównego terenu walki w Europie. W dalszym ciągu chodzi o skierowanie całej uwagi Stanów Zjednoczonych nie na Atlantyk, ale w kierunku Oceanu Spokojnego. Jest to jeszcze jeden przykład, do jakiego stopnia obawiają się nad Sprewą interwencji Stanów Zjednoczonych w sprawy europejskie. A ten miecz Damoklesa nad głową nowoczesnej tyranii wisi na coraz to cieńszej nitce.

Sfinks rosyjski przemówił tubalnym głosem Mołotowa, komisarza dla spraw zagranicznych sowieckiej republiki. Mołotow jest jak wiadomo następcą Litwinowa i twórcą nowej orientacji w polityce moskiewskiej. Nic więc dziwnego, że musiał bronić swego stanowiska, to jest litery paktu o nieagresji i porozumienia z Niemcami, "mającego wszelkie cechy stałości." Czy jednakowoż deklaracja Mołotowa ma cechy jakiegoś zasadniczego tonu w polityce rosyjskiej? Bynajmniej. Przeczy jej chociażby inna deklaracja, a mianowicie oświadczenie Trzeciej Międzynarodówki w sprawie rozejmu w Compiègne i sytuacji w Polsce oraz Czechosłowacji. Przeczą również stałe i uparte wiadomości o co raz to większej koncentracji wojsk sowieckich nad Bugiem a niemieckich nad Wisłą. Sowiety i Niemcy znajdują się w sytuacji wspólników, którzy chwilowo skazani są na współpracę i między którymi wyrasta mur nieufności. *W Moskwie obawiają się, że Niemcy, uwolnione na Zachodzie, podejmą na nowo tradycyjne oraz tylokrotnie zapowiadane plany wschodnie—i runą całą swą siłą na Ukrainę i kraje bałtyckie.* W Berlinie są przekonani, że pierwsze niepowodzenie niemieckie na Zachodzie, będzie hasłem do interwencji Rosji. W tej chwili ani Trzecia Rzesza, ani Trzecia Rosja -nie mają ochoty na podjęcie decydującej rozgrywki. Rosja nie chce wojny z Niemcami, gdyż już kampania fińska wykazała całą słabość olbrzymiego imperium. Niemcy zajęte są wojną z Anglią. Dlatego też mamy owe "dobre stosunki sąsiedzkie," o których tak wymownie wspomina na przemian Hitler i Mołotow. Ale to wszystko jest tylko dyplomatycznym plastrem, przylepianym na co raz to bardziej jadzącą—się ranę. I cała kontynentalna polityka pogrąża się w mgłach niepewności, stając się równaniem o wszystkich niewiadomych.

tk

Polski koncert w Glasgow

W niedzielę 28. ub.m. odbył się w sali kinoteatru Paramount w Glasgowie drugi koncert Chóru Żołnierzy Polskich, którzy wystąpili na rzecz "War Relief Fund." Pierwszy koncert w mniejszej sali Ateneum, nie zdołał pomieścić przybyłych gości, toteż powtórzono go w największej sali Glasgowa. Ale i ta okazała się za mała. Długie ogonki stały kilka godzin na ulicy a wkońcu mnóstwo ludzi odeszło bez biletów, jakkolwiek sala pomieściła 3-4 tyś. osób.

Owacje po każdym numerze programu zamieniły się w drugiej części koncertu na manifestację przyjaźni szkocko-polskiej, kiedy na estradę wyszedł lord Provost Glasgowa P. J. Dollan i w serdecznych słowach dziękował Chórowi za ofiarę na rzecz Funduszu Wojennego. Podziękowanie to złożył na ręce Gen. Burkhard-Bukackiego, który na pamiątkę od wojsk polskich w Szkocji ofiarował Lordowi Dollanowi srebrną szkatułkę z białym orłem.

Chór polskich żołnierzy okazał nadzwyczajną siłę przyciągającą. W czasie koncertu zgłosiło się do Lorda Provosta trzech impresariów, gotowych urządzić większe *tournée* na cele wskazane przez Lorda Dollana. W pięknym jego przemówieniu, przeplecionym dowcipnymi pointami na temat zawsze dla Szkotów aktualnej odrębności narodowej w brytyjskim *commonwealth* (wspólnota), wyraził Lord Provost przekonanie, iż koncert ten to dla Glasgowa najpiękniejszy wieczór od chwili wybuchu wojny i wzywał publiczność, aby w podzięce polskiej armii śpiewała na zakończenie hymn polski, podany w programie z nutami i fonetyczną wymową polskiego tekstu. I rzeczywiście, mogliśmy się rozkoszować potęgą brzmienia naszego skromnego mazurka Dąbrowskiego, kiedy zabrzmiały jego tony z kilku tysięcy szkockich piersi.

Zapytacie, jakimi to pieśniami podbili serca szkockie nasi żołnierze. A więc była i "Bogurodzica" i "Gaude Mater Polonia" oraz Lachmana "Polskie sztandary na Kremlu." To repertuar poważny. Pieśni ludowe reprezentowała piosenka "Hejże ino, fijołecku leśny" i "Umarł Maciek." Żołnierską dolę opiewały piosenki "Co tam marzyć o kochaniu," "Niemasz jak żołnierski stan," oraz nad program "Ksiądz mi zakazował" i "Stoi ułan na wedecie."

Ale to nie koniec. Żołnierze nasi nauczyli się piosenek szkockich, które w ładnym tłumaczeniu śpiewali po polsku, budząc najżywszy oddźwięk u publiczności refrenem: "Bo tu chodzi o honor beretów Dundee." Komiczne akcenty melodyjne na słabych zgłoskach słów: chodzi, honor, beretów — wywoływały istotnie humorystyczne wrażenie.

Poza chórem znaleźli się i soliści wśród Polaków. Por. Nowakowski zyskał z miejsca miano Szaljapina wśród żołnierzy, a por. Bolesławski bisował Krakowiaki.

Ciężar przygotowania koncertu, nota bene bez nut, a przy pomocy spisywanych z pamięci utworów, spoczywał w rękach por. J. Kołaczkowskiego, który napewno rzetelnie się napracował i zasłużył na owacje, których mu nie szczędzono.

Dobrym urozmaiceniem był występ orkiestry policyjnej, złożonej ze szkockich kobz. Piękne stroje narodowe szkockie, charakterystyczna muzyka i produkcja tańców szkockich, miały wielkie powodzenie u polskich słuchaczy i widzów.

J. z G.

PRENUMERATA
"POLSKI WALCZĄCEJ"

Na liczne zapytania odpowiadamy, że prenumeratę (miesięczną lub kwartalną) można załatwiać za pośrednictwem:

a/oddziałów f-my W. H. Smith and Son.

b/innych kiosków gazetowych z powołaniem się na Continental Publishers, Ltd., 34, Maiden Lane, London, W.C.2, jako źródło dostawy.

W ten sposób czytelnicy będą mogli w większości wypadków zaoszczędzić na przesyłce pocztowej, która w Anglii wynosi pensa od numeru.



Kuplecik szkocko-polski

Napisał Nemo

Rysowała Elibieta Horodyńska

Redakcja (też coś musi) zachęca do dostosowania lub skomponowania melodii, o ile możności łączącej motywy polskie i szkockie. Nagrodę obiecuje, ale—po wojnie.

Góral:

Na polskim Podhalu deszczyk sobie rosi,
Jak przestanie padać, na deszcz się zanosi.
Nie ma jak na smutki
Wypić flaszkę wódki,
Przegryźć owczym serem,
Zatańczyć z fajerem.

Szkot:

U nas w Szkocji także dużo jest wilgoci,
Więc co to dziwnego, że pić lubią Szkoci.
Lubią śpiewać także
I tańczyć a jakże,
A jakby nie lubili
To by też tańczyli.

Góral:

Że mowa jest srebrem a tańczenie złotem,
Zamiast gadać dużo tańczy Polak z Szkotem.
Polak wódkę pije,
A Szkot mu dolewa,
A jak Szkot chce śpiewać
To i Polak śpiewa.

Szkot:

Ważne sprawy łączą Polskę z Anglikami,
Walczy dzisiaj Polak razem ze Szkotami,
Jest pomiędzy nami
Jeszcze coś ważnego,
Lecz kto nie jest góral,
To mu nic do tego.

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clement's Press, Portugal St., Strand, W.C.2.